

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Joseph Conard**  
**Laguna**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**Adolfowi P. Kriegerowi na pamiątkę dawnych dni.**

## **Karain – wspomnienie (Karain; A memory)**

### **I**

Znaliśmy go w owych czasach pełnych swobody, kiedy wystarczało nam to, że byliśmy panami swego życia i majątku. Obecnie chyba nikt z nas majątku nie posiada, niektórzy zaś podobno utracili lekkomyślnie i życie; ale jestem pewien, że ci nieliczni, którzy pozostają jeszcze przy życiu, zachowali wzrok dość bystry, aby przy czytaniu dzienników o wątpliwej reputacji nie przeoczyć wzmianek o przeróżnych powstaniach krajowców na Wschodnim Archipelagu. Blask słońca bije spośród wierszy tych krótkich notatek – blask słońca i lśnienie morza. Obco brzmiąca nazwa budzi wspomnienie; drukowane słowa czuć z lekka dymem naszej atmosfery, lecz bije od nich zarazem subtelny i przenikliwy zapach przybrzeżnej bryzy, ciągnącej pod gwiazdzistym niebem dawno minionych nocy; ognisko–sygnał błyszczący jak klejnot na wyniosłym czole ciemnej skały; wielkie drzewa – niby wysunięte naprzód placówki olbrzymich lasów – stoją czujnie i cicho nad sennymi rozlewiskami szerokich wód; biały przypływ grzmi o pusty brzeg, pieni się płytka woda między skałami, a zielone wysepki leżą o cichej, południowej godzinie, rozsypane po morskiej gładzi jak garść szmaragdów rzucona na stalową tarczę.

Majaczą się i twarze – ciemne, srogie, uśmiechnięte; szczere, śmiałe twarze ludzi bosych, zbrojnych i cichych. Zapełniali wąski a długi pokład naszego szkunera barbarzyńskim, strojnym tłumem, który mienił się pstrymi barwami kraciastych sarongów, czerwonych zawojów, białych kaftanów, haftów – rozsiewał błyski pochew, złotych pierścieni, amuletów, naramienników, lanc i rękojeści sadzonych drogimi kamieniami. Ludzie ci zachowywali się swobodnie a powściągliwie, z oczu patrzyła im stanowczość; i – zda się – słyszemy jeszcze łagodne głosy, które mówią o bitwach, podróżach, ucieczkach; przechwalają się statecznie, żartują ze spokojem; niekiedy sławią z umiarem i bez hałasu własną odwagę lub naszą hojność albo z lojalnym zapałem wynoszą pod niebiosa cnoty swojego władcy. Pamiętamy twarze, oczy, głosy, widzimy znów połysk jedwabiu i metalu, patrzymy na szemrzące rozkołysanie tej ciżby – wspaniałej, świątecznej, wojowniczej; czujemy, zda się, dotknięcie przyjaznych, brunatnych rąk, które – po krótkim uścisku – kładą się z powrotem na cyzelowanej rękojeści.

Byli to ludzie Karaina – wierni mu i oddani. Łowili swoje ruchy na jego ustach; czytali swoje myśli w jego oczach; gdy mruknął do nich niedbale o życiu i śmierci, przyjmowali jego

słowa w pokorze jak wyroki przeznaczenia. Wszyscy byli ludźmi wolnymi, a zwracali się do niego, mówiąc: „twój niewolnik”. Z nadejściem władcy uciszały się głosy, jak gdyby go strzegło milczenie; korne poszepty szły za nim. Zwali go swoim wodzem. Był panem trzech osad położonych w wąskiej dolinie, władcą nieznacznego skrawka ziemi – zdobytego skrawka ziemi – który na kształt księżycowego sierpa leżał zapomniany między pasmem wzgórz a morzem.

Z pokładu naszego szkunera, zakotwiczonego w środku zatoki, Karain wyciągał ramię ku poszarpanym zarysom wzgórz, obejmując teatralnym ruchem całą swą dziedzinę. Ten szeroki ruch zdawał się odsuwać wstecz granice jego władztwa, powiększając je naraz do olbrzymich i nieokreślonych rozmiarów; zdawało się nam przez chwilę, że tylko niebo stanowi jego granice. I rzeczywiście: patrząc na to miejsce zamknięte skałami ze strony morza i odgrodzone od lądu stromymi zboczami gór, trudno było uwierzyć w istnienie jakiegokolwiek sąsiedztwa. Był to zakątek cichy, stanowiący całość sam w sobie, nieznany i pełen życia, które tętniło potajemnie, sprawiając niepokojące wrażenie samotni; które w niewytłumaczony sposób zdawało się pozbawione wszystkiego, co mogłoby pobudzić myśl, wzruszyć serce, przypomnieć złowróżbne następstwo dni. Ten zakątek wydawał się nam krajem bez wspomnień, żalów i nadziei; krajem, gdzie nic nie mogło przetrwać nadejścia nocy i gdzie każdy wschód słońca – niby oddzielny, olśniewający akt stworzenia – był oderwany i od wczoraj, i od jutra.

Karain zatoczył ręką łuk w kierunku swego państwa: „Wszystko to moje!” Stuknął w pokład długą łaską; złota jej gałka zabłysła jak spadająca gwiazda; stojący tuż za nim stary Malaj w bogato haftowanym, czarnym kaftanie, jeden jedyny z całej świty nie powiódł oczami za władczym gestem. Nie podniósł nawet powiek. Stał nieruchomo za swym panem z głową spuszczoną, trzymając na prawym ramieniu długą klingę w srebrnej pochwie. Pełnił służbę, obojętny na wszystko. Zdawało się, że coś mu ciąży – ale nie brzemień wieku; że ugina się raczej pod ciężarem tajemnicy życia. Karain, ocieężały i pełen wspaniałości, stał w pozie wyniosłej i oddychał spokojnie. Była to nasza pierwsza wizyta; rozglądaliśmy się z ciekawością.

Zatoka wyglądała jak bezdenne jama, pełna jaskrawego światła. Okrągły płat wodny odbijał świetliste niebo, a zamykające go brzegi tworzyły matowy pierścień z ziemi, zawieszony w przejrzystej pustce błękitu. Łańcuch wzgórz, fioletowych i nagich, odrzynał się ciężko od nieba; szczyty zdawały się rozplýwać w barwnym drganiu, jakby wstępujące w górę opary; u stóp stromych zboczy, podkreślonych zielenią wąskich rozpadlin, leżały pola ryżowe, kępy bananowców, żółte piaski. Strumień wił się jak upuszczona nitka. Grupy drzew owocowych wskazywały miejsca wiosek; smukłe palmy łączyły głowy nad niskimi chatami; dachy z suchych liści palmowych jaśniały z dala, za ciemną kolumnadą pni, niby dachy ze złota; barwne postacie przesuwały się, szybko znikając; dym z ognisk tkwił prostopadle nad gąszczami kwitnących krzewów; połyskiwały bambusowe, płoty, biegnąc łamaną linią między polami. Nagły okrzyk na wybrzeżu dźwięczał żałośnie w oddali i urywał się niby zduszony ulewą światła; lekki podmuch znaczył się błyskawicą ciemności na gładkiej wodzie, owiewał nasze twarze i przepadał. Nic się nie poruszało. Olśniewający blask spływał w świetlistą kotlinę, pełną barw i ciszy.

Tak wyglądała scena, po której stąpał Karain, przybrany wspaniale dla odegrania swej roli, pełen niezrównanego dostojeństwa, wywyższony przez szczególną, wrodzoną mu siłę, która wzbudziła w ludziach bezsensowne oczekiwanie, że stanie się coś bohaterskiego i buchnie czynem lub pieśnią na wibrujące tło cudownego słońca. Uderzający był – i zagadkowy; nie umieliśmy bowiem sobie wyobrazić, jaką te wymyślne pozory straszliwą kryć mogą otchłań. Nie nosił maski – za wiele było w nim życia, a maska jest rzeczą bezduszną – lecz występował zasadniczo jak aktor, jak ludzka istota utajona za wyzywającym przebraniem. Najdrobniejsze, jego czyny były obmyślane i zaskakujące, przemowy poważne, a zdania – pełne złowróżbnych aluzji i zawile jak arabeski. Traktowano go z uroczystą czcią, którą bezceremonialny zachód obdarza monarchów tylko na scenie, a przyjmował te głębokie hołdy z niez-

chcianym dostojeństwem, jakie widuje się jedynie w świetle kinkietów – w skondensowanej i fałszywej atmosferze jaskrawego tragizmu. Zapominało się niemal, kim on jest rzeczywiście: naczelnikiem drobnego plemienia w zatraconym kącie Mindanao, gdzie mogliśmy ze względny bezpieczeństwa łamać prawo, zabraniające dostarczania krajowcom broni palnej i amunicji. Co by nastąpiło, gdyby któraś z obumarłych hiszpańskich kanonierek, tknięta prądem galwanicznym, wstała nagle do czynnego życia, ta kwestia przestawała nas obchodzić z chwilą, gdy znaleźliśmy się wewnątrz zatoki – tak dalece państwo Karaina zdawało się leżeć poza obrębem wścibskiego świata; a przy tym mieliśmy w owych czasach dość żywą wyobraźnię i zapatrywaliśmy się z pewnego rodzaju wesołą obojętnością na perspektywę, że powieszą nas gdzieś chyłkiem, nie narażając się na dyplomatyczne interwencje. Co się zaś tyczy Karaina, mogło go spotkać tylko to, co spotyka nas wszystkich – przegrana i śmierć; odznaczał się jednak pewną szczególną właściwością: otaczała go zawsze złuda niezawodnego powodzenia. Wydawał się zbyt wspaniały, zbyt potrzebny – stanowił zanadto niezbędny warunek istnienia swego kraju i ludu, aby mogło go coś unicestwić – chyba tylko trzęsienia ziemi. Był wcieleniem swej rasy, swego kraju, żywiołu namiętnego życia i tropikalnej przyrody. Posiadał jej bujną siłę, jej czar i – podobnie jak ona – krył w sobie zaród niebezpieczeństwa.

Po wielu kolejnych odwiedzinach poznaliśmy dokładnie scenę, na której występował: fioletowe zakole wzgórz, smukłe drzewa pochylone nad chatami, żółte piaski, płynną zieleń wąwozów. Wszystko to miało surowy i olśniewający koloryt malowanej dekoracji, jej celowość prawie przesadną i podejrzaną nieruchomość; a scena ta stanowiła tak idealne tło dla zdumiewającej gry aktorskiej Karaina, że reszta świata zdawała się wyłączona na zawsze ze wspaniałego przedstawienia. Nic nie mogło istnieć poza tym. Odnosiło się wrażenie, że ziemia odsuwa się, wirując, coraz dalej, rzuciwszy w przestrzeń tę kruszynę swojej powierzchni. Karain wydawał się odcięty od wszystkiego – prócz słońca – a nawet i słońce było jakby tylko dla niego stworzone. Gdy raz zapytałem, co się znajduje po drugiej stronie wzgórz, odrzekł ze znaczącym uśmiechem: „Przyjaciele i wrogowie – liczni wrogowie; inaczej dłaczegóż bym kupował wasze strzelby i wasz proch?” Taki był zawsze – odmierzał słowa zgodnie ze swą wolą, stosując się wiernie do pewników i tajemnic swego otoczenia. „Przyjaciele i wrogowie” – nic poza tym. Pojęcie nieuchwytnie i szerokie. Ziemia toczyła się zaiste coraz dalej, usunąwszy się spod jego kraju, i oto pozostał z garścią swojego ludu, otoczony bezgłośnym zamętem – jak gdyby jego państewko było oazą w świecie swarliwych cieni. I rzeczywiście, żaden dźwięk z zewnątrz nie przedostawał się na łańcuch wzgórz. „Przyjaciele i wrogowie!” Mógł być dodać: „i wspomnienia” – przynajmniej o ile chodziło o niego samego – lecz nie uczynił tego wówczas. Dowiedzieliśmy się o tym później, ale już po ukończeniu codziennego przedstawienia – za kulisami, że się tak wyrażę, i po zgaszeniu świateł. A tymczasem roztaczał na scenie swój barbarzyński majestat.

Przed jakimi dziesięciu laty Karain poprowadził na zdobycie zatoki swój lud, garść zebranych przygodnie wędrownych Bugisów, a teraz pod jego dostojną pieczę poddani zapomnieli o przeszłości i zbyli się wszelkiej troski o przyszłość. Obdarzał ich mądrością, radą, nagrodą, karą, życiem lub śmiercią, zachowując zawsze niezachwianą pogodę w mowie i wyglądzie. Znał się na nawadnianiu pól i sztuce wojennej, na broni i budowaniu statków. Umiał zataić uczucia; miał więcej wytrwałości niż którykolwiek z jego poddanych, potrafił pływać dłużej i lepiej sterować łodzią, a strzelał celniej i prowadził układy bardziej zawile od wszystkich ludzi z jego rasy, jakich zdarzyło mi się spotkać. Był to morski awanturник, wygnaniec, władca – i mój serdeczny przyjaciel. Życzę mu szybkiej śmierci wśród walki, śmierci w blasku słonecznym, albowiem zakosztował władzy i wyrzutów sumienia, a żaden człowiek nie może więcej wymagać od życia. Dzień po dniu zjawiał się przed nami, niezachwianie wierny scenicznej perspektywie, a o zachodzie nagle pochłaniała go noc jak spuszczone kurtyna. Porysowane wzgórze zamieniały się w czarne cienie, sterczące wysoko na czystym niebie; nad

nimi błyszczący bezład gwiazd podobny był do obłąkanego zamętu, uciszonego jednym gestem; wszelkie dźwięki milkły, ludzie usypiali, kształty się rozplýwały i pozostawała tylko istota wszechświata – przedziwna otchłań mroku i świetlistych migotów.

## II

Dopiero nocą mówił z nami otwarcie, zapominając o wymaganiach scenicznej etykiety. Za dnia rozprawialiśmy uroczyście o interesach. Na początku naszej znajomości dzieliła go ode mnie jego wspaniałość, moje nikczemne podejrzenia i sceniczny krajobraz, który wdierał się do realnego życia i przesłaniał je nieruchomą fantazją barw i kształtów. Liczna świta tłoczyła się wkoło Karaina; nad jego głową szerokie ostrza włóczy tworzyły najeżoną aureolę z żelaza; odgradzał się od ludzi połysk broni, lśnienie jedwabi, podniecony i korny gwar zapalczywych głosów. Przed zachodem słońca zęgnął nas ceremonialnie i odjeżdżał pod czarnym parasolem, otoczony orszakiem dwudziestu łodzi. Wszystkie wiosła błyskały jednocześnie, zaturzając się potężnym pluskiem, który rozbrzmiewał głośnym echem we wspaniałym amfiteatrze wzgórz. Szeroki strumień olśniewającej piany ścielił się za flotyllą. Łodzie wydawały się bardzo czarne wśród białego syku wody; głowy w zawojach chyliły się w tył i naprzód; mnóstwo ramion w czerwonych i żółtych rękawach wznosiło się i opadało jednym ruchem; włóczynicy stojący w tyle łodzi mieli barwne sarongi i ramiona błyszczące jak u brązowych posągów; strofy pieśni, skandowanych półgłosem przez wioślarzy, kończyły się w miarowych odstępach żalonym krzykiem Orszak małał w oddali, urywała się pieśń; wysypywali się na brzeg wśród długich cieni padających od zachodnich wzgórz. Promienie słońca ociągały się jeszcze, Ignąc do purpurowych szczytów; widzieliśmy wyraźnie Karaina, wiodącego orszak ku częstokołowi. Szedł z gołą głową, wielki i ociężały, wyprzedzając o dobry kawał luźno rozsypaną świtę, i kołysał rytmicznie hebanową laską, sięgającą mu wyżej głowy. Mrok gęstniał szybko; pochodnie błyskały od czasu do czasu za krzakami; kilka razy rozlegały się przeciągłe nawoływania w wieczornej ciszy i wreszcie noc zaciągała gładką zasłonę na wybrzeże, światła i głosy.

Potem, gdy zabieraliśmy się już do spoczynku, wartownik szkunera okrzykiwał daleki plusk wiosel w gwiazdzistym mroku zatoki. Jakiś głos odpowiadał mu ostrożnie, a nasz serang, wtykając głowę przez otwarty luk, oznajmiał bez zdziwienia: „To radza przyjsć. On już tu być”. Karain ukazywał się bez szmeru na progu małej kajuty. Wydawał się wówczas uosobieniem prostoty – odziany w biel, z zawojem na głowie; za całą broń miał tylko krys o zwyczajnej rogowej rękojeści, przy czym zasłaniał go uprzejmie fałdą saronga, nim próg przestąpił. Za jego plecami widniała zawsze zniszczona i ponura twarz starego Malaja noszącego miecz – twarz pokryta tak gęstymi zmarszczkami, że zdawała się patrzeć skroś oczek cienkiej, ciemnej siatki. Karain nie ruszał się nigdzie bez tego zausznika, który stał tuż za nim albo przysiadł na piętach. Radza nie lubił czuć za sobą otwartej przestrzeni. A nawet więcej, niż nie lubił: zdawało się po prostu, że się lęka, że niepokoi go to, co się dzieje tam, gdzie wzrok jego nie sięga. Nie mogliśmy tego zrozumieć wobec jawnej i zapamiętałej wierności, jaka go otaczała. Znajdował się przecież sam wśród oddanych mu ludzi; nie czyhały na niego ani sąsiedzkie zasadzki, ani braterskie ambicje, a jednak niejednen z naszych gości zapewniał, że władca nie znosi samotności. Mówili nam: „Nawet kiedy je albo śpi, jest przy nim zawsze na straży człowiek, który posiada broń i siłę”. I rzeczywiście zawsze mu ktoś towarzyszył, ale nasi informatorzy nie mieli wyobrażenia ani o broni, ani o sile tego strażnika, które były zaiste ciemne i straszliwe. Przekonaliśmy się o tym, ale dopiero później, słuchając pewnego opowiadania.



Zauważyliśmy tymczasem, że nawet podczas najważniejszych rozmów Karain wzdygał się często i przerywając swoje wywody sięgał w tył nagłym ruchem, aby się przekonać, czy stary Malaj jest za nim. A stary Malaj, tajemniczy i znużony, był zawsze na stanowisku. Dzielił pożywienie władcy; jego spoczynek, jego myśli; znał jego plany, strzegł jego tajemnic i – niewzruszony wobec wzburzenia swego pana, nie drgnąwszy nawet, szeptał mu kojąco nad głową jakieś nieuchwytnie słowa.

Dopiero gdy Karain znalazł się na szkunerze, otoczony białymi twarzami, wśród nie znanych sobie dźwięków i przedmiotów, zdawał się zapominać o dziwnym niepokoju, który wił się jak czarna nić przez wspaniałość i pompę jego publicznego życia. Nocą zachowywaliśmy się wobec władcy w sposób swobodny i niewymuszony, nie posuwając się jednak aż do klepania go po plecach, istnieją bowiem poufałości, których należy się wystrzegać w stosunku do Malaja. Oświadczył nam, że podczas tych wizyt jest nie tylko człowiekiem prywatnym, który przybywa w odwiedziny do ludzi równych sobie urodzeniem. Zdaje się, że miał nas aż do końca za tajnych wysłanników rządu, popierających za pomocą nielegalnego handlu jakiś plan wysoce dyplomatyczny. Nasze zaprzeczenia i protesty były bezskuteczne. Uśmiechał się tylko uprzejmie a dyskretnie i zapytywał o królową. Każda wizyta rozpoczynała się od tego pytania; żądny był wszelkich szczegółów o niej: czarował go urok władczym, której berło rzucało cień sięgający z zachodu przez ziemie i morza – aż hen daleko poza pięćdziesiąt ziem zdobytą przez Karaina. Wymyślał coraz to nowe pytania; nigdy nie był syty wiadomości dotyczących się monarchini, a mówił o niej z podziwem i rycerską czcią, z pewnym rodzajem tkliwości i grozy! Dowiedzieliśmy się później, że był synem kobiety, która przed wielu laty rządziła małym państwem bugiskim, i wpadliśmy na domysł, że widać pamięć o matce – a wspominał ją zawsze z zachwytem – stapiała się niejako w jego umyśle z wyobrażeniem, które usiłował sobie wytworzyć o dalekiej królowej, zwanej przez niego Wielką, Niezwyciężoną, Pobożną i Szczęśliwą. Musieliśmy w końcu wymyślać różne szczegóły, aby nasycić jego zachłanną ciekawość; należy nam wybaczyć to uchybienie lojalności, gdyż usiłowaliśmy dostroić informacje do wzniesłego i wspaniałego ideału, jaki sobie Karain wytworzył. Rozmawialiśmy bez końca. Noc przesuwała się nad nami, nad cichym szkunerem, nad śpiącym łodem. i nad bezsennym morzem, które grzmiało wśród skał na zewnątrz zatoki. Wioślarze Karaina – dwaj zaufani ludzie – spali w łodzi u stóp okrętowej drabiny. Stary zausznik, zwolniony ze swego obowiązku, drzemał na piętach, oparłszy się plecami o odrzwia; a Karain siedział rozparty w drewnianym fotelu pod z lekka rozkołysaną lampą, z cygarem w ciemnych palcach, przed szklanką pełną lemoniady. Bawił go syk ulatniającego się gazu, ale pociągnąwszy jeden lub dwa łyki, czekał, aż się napój wyszumi, po czym dwornym ruchem ręki prosił o świeżą butelkę. Dziesiątkował nasz skromny zapas, lecz gościliśmy go chętnie, bo rozgadawszy się opowiada! bardzo interesująco. Musiał być ongi wielkim bugiskim dandysem, gdyż nawet w owym czasie (a kiedyśmy go znali, nie był już młody) nieskazitelna czystość cechowała zawsze wspaniały jego strój, a włosy barwił na kolor jasnobrażowy. Spokojne dostojeństwo jego obejścia zamieniało źle oświetloną kajutę na salę posłuchań. Mówił o sprawach polityki na archipelagu z bystrością pełną ironii i melancholii. Napodróżował się wiele, niemało przeszedł, spiskował, walczył. Znał tuziemcze dwory, osady europejskie, lasy, morze i – jak się sam wyrażał – rozmawiał swego czasu z wielu sławnymi ludźmi. Lubił ze mną gawędzić, ponieważ znałem niejednego z owych potentatów; zdawał się sądzić, że ja zdolny jestem go zrozumieć, i ze wspaniałą pewnością siebie wnioskował, że umiem przynajmniej ocenić, o ile on sam stoi wyżej od innych znakomitości. Ale chętniej jeszcze rozmawiał o swoim kraju rodzinnym – małym państewku bugiskim, leżącym na wyspie Celebes. Ponieważ byłem tam niedawno, rozpytywał mnie usilnie o nowiny. Gdy podczas rozmowy wypływały imiona różnych ludzi, mówił o tym lub owym: „Pływałem z nim w zawody, gdy byliśmy chłopcami”. Albo: „Polowaliśmy razem – władał pętlą i włócznią równie dobrze jak ja”. Niekiedy toczył niespokojnie wielkimi, zamyślonymi oczami, marszczył brwi albo uśmiechał się, albo zamy-

śłał i, patrząc przed siebie w milczeniu, kiwał z lekka głową ku jakiejś nieodżałowanej wizji z lat minionych.

Matka jego rządziła ongi niewielkim, na wpół niezależnym państewkiem na wybrzeżu zatoki Boni. Opowiadał o niej z dumą. Była to kobieta pełna zdecydowania w sprawach państwa, tudzież własnego serca. Po śmierci pierwszego męża, nie zastraszona hałaśliwą opozycją swych wodzów, poślubiła bogatego kupca z plemienia Korinchi, człowieka o niskim pochodzeniu. Karain był jej synem z tego drugiego małżeństwa, lecz niefortunna ta okoliczność nie miała snadź nic wspólnego z jego wygnaniem. Przyczyn tego wygnania wcale nam nie wyjawiał, choć raz wymknęło mu się z westchnieniem: „Ha! kraj mój nie poczuje już nigdy ciężaru moich kroków”. Ale opowiadał chętnie dzieje swych wędrówek i opisał nam szczegółowo zdobycie zatoki. Napomknawszy o plemienu mieszkającym za pasmem wzgórz, rzekł raz cicho i łagodnie, z niedbałym ruchem ręki: „Przyszli kiedyś przez góry, aby walczyć z nami; ale ci, którzy uciekli, nie powrócili już nigdy”. Zamyślił się na chwilę, uśmiechając się do siebie. „Bardzo niewielu uciekło” – dodał z pogodną dumą. Kochał wspomnienia swych powodzeń; żywił radosny zapał do czynu; gdy opowiadał, wygląd jego był wojowniczy, rycerski i wzniosły. Nic dziwnego, że lud go wielbił. Widzieliśmy raz, jak szedł w blasku dnia między chatami osady. Gromadki kobiet stojących we drzwiach oglądały się za nim z cichym szczebiotem błyszczącymi oczami; zbrojni ludzie ustępowali mu z drogi „prostując się w postawach pełnych czci; inni podchodzili z boku, zginając karki, aby przemówić doń pokornie; stara kobieta, stojąca w ciemnej framudze drzwi, wyciągnęła chude ramię i zawołała: „Błogosławiona twoja głowa!” Jakiś człowiek o ognistych oczach wychylił przez niskie ogrodzenie bananowego gaju mokrą od potu twarz i pierś przeoraną dwiema bliznami. Krzyknął zdyszczanym głosem w ślad za nim: „Boże, daj zwycięstwo naszemu władcy!” Karain szedł prędko, stawiając długie, pewne kroki, i odpowiadał na syjące się zewsząd powitania szybkimi, przenikliwymi spojrzzeniami. Dzieci biegły naprzód wśród chat i wyglądały lekliwie zza węglów, młodzi chłopcy trzymali się na jednej linii z władcą, przemykając się między krzewami, a oczy ich błyszczały wśród ciemnych liści. Stary zausznik, dzierżąc srebrną pochwę na ramieniu, sunął prędko tuż za Karainem z głową spuszczoną i oczami wbitymi w ziemię. Przechodzili szybko, skupieni, wśród ogólnego poruszenia, niby dwaj ludzie dążący spieszenie przez pustkowie.

W sali narad wojennych otaczali Karaina poważni zbrojni dowódcy, starzy zaś wojownicy w bawelnianych szatach przysiadali na piętach w dwóch długich rzędach, z rękami zwisającymi beczynnie z kolan. Pod strzechą wspartą na gładkich kolumnach – z których każda kosztowała życie smukłą, młodą palmę – woń kwitnących żywopłotów przepływała ciepłą falą. Słońce zniżyło się. Na otwarty dziedziniec wchodzili suplikanci, wnosząc już z oddali złączone ręce ponad schylone głowy i gnąc się nisko w jasnym potoku światła. Młode dziewczęta z kwiatami na kolanach siedziały pod wielkim drzewem, w cieniu szeroko rozpostartych konarów. Niebieski dym ciągnął od ognisk i powlekał przejrzystą mgłą spadziste dachy chat o połyskliwych ścianach plecionych z trzciny; wokół nich biegły słupy z grubo ciosanych pni, podpierające pochyły okap. Karain sprawował sądy w cieniu drzew; tronuąc na wysokim siedzisku, wydawał rozkazy, udzielał rad lub napomnień. Gwar pochlebnych głosów wzmagał się od czasu do czasu, a beczynni włóczęgi – którzy stali wsparci niedbale ó słupy, przypatrząc się dziewczętom – odwracali z wolna głowy. Żaden mąż nie żył pod osłoną takiej czci, zaufania i grozy. A jednak pochylał się chwilami i nasłuchiwał – niby dalekiego echa jakiejś zwady; czekał – zda się – że usłyszy czyjś cichy głos lub szelest lekkich kroków; czasem na wpół porywał się z krzesła, jak gdyby ktoś poufale dotknął jego ramiona. Rzucił w tył trwożne spojrzenie; stary zausznik szeptał mu do ucha nieuchwytnie słowa, a wodzowie odwracali oczy – bo oto stary czarownik, człowiek rozkazujący widmom i zsyłający złe duchy na nieprzyjaciół, przemawiał do władcy. W krąg ciszy zalegającej na krótko dziedziniec szumiały z lekka drzewa; cichy śmiech dziewcząt bawiących się kwiatami tryskał kaskadą radosnych

dźwięków. Na szczytach wysokich drzew długie pęki barwionego końskiego włosia mieniły się w podmuchach wiatru przejrzystą purpurą, a strumień o kryształowej, bystrej wodzie, płynący za jaskrawym kwieciami żywopłotów, toczył się niewidzialny i głośny pod zwisającą trawą brzegu, szemrząc coś namiętnie i łagodnie.

Po zachodzie słońca widać było z dala – poprzez pola i zatokę – pęki pochodni gorejących pod wysokim dachem szopy przeznaczonej na narady. Dymiące czerwone płomienie chwiały się na wysokich żerdziach; ognisty blask przebiegał po twarzach, lgnął do gładkich pni palm, krzesał jasne iskry z metalowych półmisków, stojących na cienkich matach. Ten nieznanawy awanturnik ucztował jak król. Małe grupki ludzi obsiadały ciasnym kołem drewniane misy, brunatne ręce krążyły nad śnieżnymi kopczykami ryżu. Karain, siedząc trochę na uboczu na prostej ławie, wspierał spuszczoną głowę na dłoni, a obok niego jakiś młodzieniec improwizował rapsod sławiący jego mądrość i odwagę. Pieśniarz kiwał się rytmicznie, tocząc rozgorzałym wzrokiem; stare kobiety dreptały w koło z półmiskami, a biesiadnicy siedzący na piętach podnosili głowy i wsłuchiwali się z powagą, nie zaprzestając jedzenia. Pieśń triumfu rozbrzmiewała w nocnym powietrzu; strofy płynęły ponure i ogniste jak myśli pustelnika. Uciszył je gestem: „Dosyć!” W oddali chichotał puszczyk, rozkoszujący się głębokim mrokiem w gąszczu listowia; nad głowami biegały po dachu z palmowych liści jaszczurki, nawołując się łagodnie; suche liście w strzesze szeleściły; gwar zmieszanych głosów potęgował się nagle. Karain, powiódłszy w krąg trwożnym spojrzeniem, jak człowiek zbudzony nagłym poczuciem niebezpieczeństwa, rzucił się w tył i pod wzrokiem starego czarownika uspokajał się stopniowo, podejmując z szeroko rozwartymi oczami wątłą nić swoich marzeń. Wszyscy wokół śledzili zmianę w usposobieniu pana; gwar ożywionej rozmowy przycichał jak fala na płytkim brzegu. Władca jest zamyślony! I ponad szmer zniżonych głosów wybijał się tylko lekki szczepek broni, jakies pojedyncze, głośniejsze słowo, wyraźne i samotne, lub też poważne brzęknięcie wielkiej miedzianej tacy.

### III

Odwiedzaliśmy go przez dwa lata w krótkich odstępach czasu. Polubiliśmy go, nabraliśmy do niego zaufania, podziwialiśmy go prawie. Spiskował i przygotowywał wojnę, wykazując tyle cierpliwości i przeczności, taką świadomość celu i wytrwałość, o jakie nie posądziłbym go nigdy, zważywszy na jego rasę. Wydawał się nieustraszony wobec jutra i zdradzał w planach bystrość, ograniczoną jedynie przez głęboką ignorancję w stosunku do pozostałego świata. Staraliśmy się go oświecić; ale na próżno; nie był w stanie pojąć, jak nieodparte są siły, którym się przeciwstawiał; nic nie mogło ostudzić zapалу, z jakim gotował się do walki o swoje prymitywne ideały. Nie rozumiał nas i odpowiadał argumentami, które doprowadzały do rozpaczki dziecinną swą przebiegłością. Ciasnota jego pojęć była nieuleczalna. Czasem błyskała w nim mroczna, żarząca się wściekłość – ponure a niejasne poczucie doznanej krzywdy – i skupiona żądza gwałtu, niebezpieczna u Malaja. Szaleństwo porywało go jak natchnienie. Pewnego razu, gdy rozmawialiśmy długo w noc w kampongu, skoczył nagle na równe nogi. Wielkie, jasne ognisko paliło się w gaju; światła i cienie tańczyły między drzewami; wśród cichej nocy migały nietoperze, przelatując pod gałęziami jak roztrzepotane płatki zgęszczonego mroku. Karain porwał miecz z rąk starego zauszniaka, wyciągnął z pochwy, aż świsnęło w powietrzu, i wbił ostrze w ziemię. Nad cienką, prostą klingą srebrna rękojeść, oswobodzona z uwięzi, słała się przed Karainem jak coś żywego. Cofnął się o krok i głuchym głosem przemówił dziko do wibrującej stali:

– Jeśli jest cnota w ogniu, w żelazie, w ręce, która cię wykuła, w słowach nad tobą wyrzeczonych, w pragnieniu mego serca i w mądrości twoich twórców – odniesiemy razem zwycięstwo!

Wyciągnął miecz z ziemi i popatrzył wzdłuż ostrza.

– Bierz! – rzekł przez ramię do starego zausznika.

A ów, siedząc bez ruchu na piętach, obtarł ostrze brzegiem saronga, wetknął z powrotem broń do pochwy i w dalszym ciągu piastował ją na kolanach, nie spojrzawszy w górę ani razu. Karain uspokoił się nagle i zasiadł na powrót z godnością. Od tej chwili daliśmy pokój perswazjom, pozostawiając go na drodze wiodącej ku chwalebnej porażce. Wszystko, co można było dla niego zrobić, polegało tylko na jednym: pilnowaliśmy, aby proch był dobry i strzelby zdatne do użytku, choć stare.

Ale gra stała się w końcu zbyt ryzykowna i chociaż my sami, prowadząc ją tak często, niewiele robiliśmy sobie z niebezpieczeństwa, pewni wielce szanowni ludzie, siedzący zacisznie po biurach, rozstrzygnęli za nas, że ryzyko jest zbyt wielkie i że odbędziemy już tylko Jedną jedyną wyprawę. Rozpuściwszy, jak zwykle, wiele mylnych pogłosek co do celu naszej podróży, wymknęliśmy się spokojnie i po krótkiej przeprawie wpłynęliśmy do zatoki. Był wczesny ranek i zanim jeszcze kotwica sięgnęła dna, szkuner został otoczony przez łódki.

Pierwszą rzeczą, którą usłyszeliśmy, była wiadomość, że tajemniczy zausznik Karaina umarł przed kilku dniami. Nie przypisywaliśmy tej nowinie wielkiego znaczenia. Zapewne, trudno było sobie wyobrazić Karaina bez nieodstępного towarzysza, ale człowiek ów był stary, nigdy do żadnego z nas słowa nie przemówił – nie słyszeliśmy chyba wcale dźwięku jego głosu i przyzwyczajiliśmy się patrzeć nań jak na coś pozbawionego życia, jak na część przepychu, wśród którego żył nasz przyjaciel, jak na miecz, który za nim noszono, lub czerwony parasol z frędzlami, pojawiający się w czasie uroczystych objazdów. Karain nie odwiedził nas po południu, jak to czynił zazwyczaj. Przed zachodem słońca przesłał nam pozdrowienie i dar złożony z owoców i jarzyn. Nasz przyjaciel płacił nam jak bankier, a gościł nas jak król. Oczekiwaliśmy go do północy. Na rufie pod płóciennym dachem brodaty Jackson brzdąkał na starej gitarze i śpiewał ohydny akcentem stare romanse hiszpańskie, a młody Hollis i ja, rozciągnięci na pokładzie, graliśmy w szachy przy świetle latarni. Karain nie pojawił się jednak. Następnego dnia byliśmy zajęci wyładowaniem towaru i dowiedzieliśmy się, że radza jest niezdrów. Oczekiwane przez nas zaproszenie nie nadeszło. Przesłaliśmy przyjazne pozdrowienia, lecz bojąc się przeszkodzić jakimś tajemnym obradom, nie opuściliśmy statku. Na trzeci dzień wczesnym rankiem wyładowaliśmy już wszystek proch i karabiny, a także i sześćofuntową mosiężną armatkę z lawetą, którą zakupiliśmy i wspólnie na dar dla naszego przyjaciela.

Po południu uczyniło się parno. Strzępiaste brzegi czarnych chmur wyglądały zza pagórków; niewidzialne burze krążyły naokół, warcząc jak dzikie bestie. Przygotowaliśmy szkuner do odjazdu, aby odpłynąć następnego ranka o świcie. Dzień cały prażyło zatokę bezlitosne słońce, okrutne i blade, rozżarzone do białości. Na lądzie panowała martwota. Wybrzeże było puste, osady zdawały się wyludnione, dalekie drzewa stały w nieruchomych kępach jak namalowane; biały dym z niewidzialnych ognisk snuł się nisko u brzegu, niby opadająca mgła. Nad wieczorem trzech zaufanych ludzi Karaina, przybranych w najpiękniejsze stroje i uzbrojonych od stóp do głów, przybyło w czółnie, wioząc skrzynkę z dolarami. Posepni byli i przybici; mówili nam, że przez pięć dni nie widzieli swojego radzy. Nikt go nie widział! Uregulowaliśmy wszystkie rachunki, po czym wysłannicy Karaina, podawszy nam kolejno ręce w głębokim milczeniu, zeszli jeden po drugim do łodzi i ruszyli ku brzegowi. Siedzieli blisko siebie w jaskrawych strojach, zwiesiwszy głowy; złote hafty kaftanów błyszcząły olśniewająco, gdy się oddalali, sunąc po gładkiej wodzie; żaden z nich nie obejrzał się ani razu. Przed zachodem warczące chmury zdobyły szturmem pasmo wzgórze i zsunęły się, kotłując; po wewnętrznych zboczach. Wszystko zniknęło: czarna, wirująca kurzawa wypełniła zatokę, a

W środku niej szkuner kołysał się tam i sam w zmiennych podmuchach wiatru. Pojedynczy wystrzał piorunu zagrzmiął z siłą, która – zdało się – roznieście w kawałki pierścień wysokich wzgórz; ciepły potop spłynął na ziemię. Wiatr zamarł. Sapaliśmy z gorąca w dusznej kabinie; z twarzy lał się nam pot; zatoka syczała jak gotująca się woda; ulewny deszcz zlatywał w prostopadłych kolumnach ciężkich jak ołów; chlustał o pokład, lał się z rej, bulgotał, szlochał, pluskał, szemrał w ślepy mrok. Lampka paliła się ciemno. Hollis, obnażony do pasa, leżał na skrzyni bez ruchu, z zamkniętymi oczami, niby obdarty trup; u jego głowy Jackson brzdąkał na gitarze i podśpiewywał wśród westchnień ponurą dumkę o beznadziejnej miłości i oczach jak gwiazdy.

Wtem usłyszeliśmy na pokładzie przerażone głosy, krzyczące wśród deszczu, spieszne kroki rozległy się nad naszymi głowami i Karain ukazał się nagle we drzwiach kabiny. Nagie jego piersi i twarz połyskiwały w świetle; przemoczony sarong oblepiał mu nogi; w lewej ręce trzymał kryś w pochwie, a kosmyki mokrych włosów, wymykając się spod czerwonego turbanu, zwisały mu na oczy i policzki. Przesadził próg jednym susem, oglądając się przez ramię jak człowiek ścigany. Hollis odwrócił się prędko na bok i otworzył oczy. Jackson przycisnął wielką dłoń do wibrujących strun i brzęk zamarł. Wstałem z krzesła.

– Nie słyszeliśmy okrzyknięcia waszej łodzi! –i zawołałem.

– Łodzi?... Ależ ten człowiek dostał się tu wpływ – wycedził Hollis na swojej skrzyni. – Spójrzcie na niego!

Patrzyliśmy w milczeniu na Karaina, a on stał z obłąkanymi oczami, dysząc ciężko. Woda ciekła z niego, zbierała się w ciemną kałużę i biegła ukośnie przez podłogę kabiny. Usłyszeliśmy na pokładzie głos Jacksona, który wyszedł, aby spędzić naszych malajskich majtków ze schodków wiodących do kabiny; kłął i groził wśród głośniego plusku ulewy. Wielkie wzburzenie panowało na pokładzie; wartownicy oszaleli ze strachu na widok ciemnej postaci wskakującej przez burzę – jakby wprost z morskiej otchłani – i zaalarmowali całą załogę.

Wreszcie Jackson wrócił z pokładu gniewny i obsypany kroplami deszczu, błyszczącymi na brodzie i włosach, a Hollis, jako najmłodszy z nas przybrał pozę pełną niedbałej wyższości i rzekł, nie poruszając się wcale:

– Dajcie mu suchy sarong... ten mój... wisi tam w łazience.

Karain położył na stole kryś, rękojeścią ku sobie i wykrztusił kilka słów zduszonym głosem.

– Co takiego? – spytał Hollis, który nic nie usłyszał.

– Usprawiedliwia się, że wszedł z bronią w rękę – rzekłem oszołomiony.

– Cóż to za ceremonie... Powiedz, że wybaczymy to naszemu przyjacielowi... w taką noc – cedził Hollis. – Co się stało?

Karain wsunął przez głowę suchy sarong, mokry opuścił na ziemię i wystąpił z niego. Wskazałem mu drewniany fotel – jego fotel. Usiadł na nim wyprostowany. – Ha! – wyrzekł silnym głosem; krótki dreszcz przebiegł szerokie jego barki. Spojrzał niespokojnie przez ramię, zwrócił się do nas niby chcąc coś powiedzieć, ale wytrzeszczył tylko dziwne, jakby oślepie oczy i obejrzał się znów Jackson wrzasnął:

– Hej tam, baczność na pokładzie!

Usłyszał słaby odzew i wyciągniętą nogą zatrzasnął drzwi kabiny.

– Teraz już wszystko w porządku – oświadczył;

Wargi Karaina drgnęły z lekka. Od jaskrawej błyskawicy zapaliły się nagle na wprost niego dwa okrągłe okienka i błysnęły jak para okrutnych, fosforyzujących oczu. Wydało się nam przez chwilę, że płomień lampy rozsypał się w brutalny proch, zaś lustro nad kredensem wyskoczyło zza pleców Karaina niby gładki płat silnego światła. Huk piorunu zbliżył się i zawisł nad nami; szkuner drżał cały, a wielki głos miotał wciąż straszne groźby, oddalając się w przestwór. Przez krótką chwilę wściekły deszcz siekł o pokład. Karain powiódł z wolna

wzrokiem od twarzy do twarzy i cisza Stała się tak głęboka, że usłyszeliśmy wyraźnie oba chronometry, tykające w mojej kabine – jeden za drugim – z nie słabnącym pośpiechem.

Wszyscy trzej, dziwnie wytrąceni z równowagi nie byliśmy w stanie zdjąć oczu z Karaina. Stał się zagadkowy, wzruszył nas swoją tajemnicą, która wyгнаła go w noc i burzę i zmusiła do szukania ucieczki w kajucie szkunera. Nikt z nas nie wątpił, że patrzemy na zbiega, mimo całej dziwaczności takiego przypuszczenia. Miał twarz wynędzniałą, jakby nie spał całymi tygodniami; schudł, jakby od wielu dni nic nie jadł. Policzki jego zapadły się oczy wgłębiły; muskały piersi i ramion drgały z lekka, jak po wyczerpującej walce. Prawda, że ciężką miał przeprawę aż do szkunera, ale z jego twarzy wyzierało znużenie innego rodzaju, gniewna i trwożna udreka jak po zmaganiu się z myślą, z pojęciem, z czymś nieuchwytnym, nie dającym ani chwili wytchnienia, z niczym, z cieniem – niewyciężonym i nieśmiertelnym, który żeruje na życiu. Znaliśmy owo coś równie dobrze, jakby krzyknął nam jego nazwę. Piers Karaina rozszerzała się raz po raz; zdawało się, że nie może opanować uderzeń serca. Miał przez chwilę władzę właściwą opętanym – władzę budzenia ciekawości, bólu, politowania i przerażającego bliskiego odczucia rzeczy niewidzialnych, rzeczy mrocznych i niemych, które otaczają ludzką samotność. Oczy jego błędziły czas jakiś bez celu i zatrzymały się wreszcie. Rzekł z wysiłkiem:

– Uciekłem!... – Przeskoczyłem częstokół jak zbieg po klęsce! Biegłem w ciemnościach. Woda była czarna. Zostawiłem go wołającego na brzegu czarnej wody... Zostawiłem go stojącego samotnie na brzegu. Płynąłem... wołał za mną... płynąłem...

Drżał od stóp do głów, siedząc bardzo prosto i patrząc przed siebie. Kogo zostawił? Kto go wołał? Nic nie wiedzieliśmy. Nie mogliśmy zrozumieć, o co chodzi. Powiedziałem na chybił trafił:

– Opanuj się!

Dźwięk mego głosu zdawał się go krzepić; zeszywniał nagle, nie zwracając na mnie zresztą uwagi. Przez chwilę nasłuchiwał, jakby czekał na coś, potem znów mówił dalej:

– On tu przyjść nie może... dlatego uciekłem do was. Do was, ludzi o białych twarzach, którzy gardzicie niewidzialnymi głosami. On nie może mieć waszej niewiary i waszej siły.

Zamilkł. Po chwili usłyszeliśmy cichy okrzyk!

– Ach! Jakże silni są ludzie bez wiary!

– Nie ma tu nikogo prócz ciebie, radzo, i nas trzech – rzekł spokojnie Hollis, który leżał wciąż nieruchomo z głową wspartą na łokciu.

– Wiem – rzekł Karain. – Nie gonił tu za mną nigdy. Przecież mądry człowiek zawsze mi towarzyszył. Ale odkąd zmarł stary mędrzec, który znał moją niedolę, słyszałem tamten głos każdej nocy. Zamknąłem się na wiele dni w ciemnościach Dochodziły mnie strapione szepty kobiet, szum wiatru i bieżącej wody, szcęk broni w ręku wiernych mężów, ich kroki – i jego głos!... Blisko.. tuż przy uchu! Poczulem go dziś koło siebie... oddech jego owionął mi szyję. Wskoczyłem na dwór bez krzyku. Wszyscy naokoło spali spokojnie. Pobiegnę ku morzu. Leciał u mego boku bez najlżejszego szmeru, szepcząc, szepcząc dawne słowa – szepcząc mi do ucha dawnym głosem. Wbiegłem w morze; popłynąłem ku wam z krysem w zębach. Ja, zbrojny mąż, uciekłem przed tchnieniem do was. Weźcie mnie do waszego kraju! Stary mędrzec umarł, a z nim przepadła moc jego słów i zaklęć. I nikomu nie mogę nic powiedzieć. Nikomu. Nie ma tu nikogo, kto by był na to dość wiemy i dość mądry – na to, aby wiedzieć! Tylko przy was, niewiernych, nieszczęście moje rozplywa cię jak mgła pod okiem dnia.

Zwrócił się ku mnie.

– Pójdę za tobą! – krzyknął hamując głos. – Za tobą, który znasz tyłu spomiędzy nas. Chcę rzucić ten kraj... mój lud... i jego... tam!

Wyciągnął drżący palec, wskazując na chybił trafił gdzieś poza siebie. Ciężko nam było znieść widok tej zatajonej niedoli. Hollis patrzył w niego z uwagą. Zapytałem łagodnie:

– Gdzie jest niebezpieczeństwo?

– Wszędzie poza tym miejscem – odrzekł ponuro. – Gdziekolwiek tylko się znajdę. On czeka na mnie na ścieżkach, pod drzewami, przy łożu, gdy kładę się na spoczynek, wszędzie, tylko nie tutaj.

Powiódł wzrokiem po małej kajucie – po malowanych belkach i przybrudzonej politurze grodzi; obejrzał wszystko naokoło, jakby odwołując się do obcości i lichoty tego otoczenia, do nieporządnej zbieraniny nieznanymi przedmiotów, co należą do zagadkowego życia pełnego wysiłku, zabiegów, niewiary – do potężnego życia białych ludzi, które toczy się twardo i nieodparcie po krawędzi zewnętrznego mroku. Wyciągnął ramiona, jakby chciał objąć to życie wraz z nami. Czekaliśmy. Wiatr i deszcz ustały; cisza nocna wokół szkunera była tak głucho, jakby nas otaczał martwy świat, złożony w grobie z chmur na wieczny spoczynek. Spodziewaliśmy się, że Karain zacznie mówić. Od chęci zwierzenia się drgały mu wargi. Są ludzie, którzy twierdzą, że Malaj nie odezwie się szczerze do białego człowieka. To błąd. Żaden człowiek nie przemówi do swego pana; lecz do wędrowca i przyjaciela, który nie przybywa, aby pouczać lub rządzić, który niczego nie wymaga i zgadza się na wszystko – wobec takiego przyjaciela padają szczerze słowa u ognisk obozowych, we wspólnej samotności morza, w pobrzeżnych osadach, na postojach wśród lasów, słowa nie zważające na rasę czy kolor skóry. Jedno serce mówi – drugie serce słucha, a ziemia, morze, niebo, przelotny wiatr lub liść chwijający się na gałęzi słuchają także błażej opowieści o brzmieniu życia.

Przemówił wreszcie. Niepodobna oddać wrażenia, jakie wywarły na nas jego dzieje. Jest to wrażenie niezniszczalne, choć żyje tylko we wspomnieniu, a głębia jego i wyrazistość nie może być objawiona tym, co go nie zaznali, tak jak niepodobna podzielić się z nikim wzruszeniem przeżytym w śnie, Trzeba było widzieć wrodzoną wspaniałość Karaina, trzeba było znać go przedtem – i patrzeć na niego w owej chwili. Chwiejny półcień małej kajuty; na zewnątrz głucho cisza, skroś którą dochodziło tylko pluskanie wody o boki szkunera; blada twarz Hollisa o spokojnych, ciemnych oczach; energiczna głowa Jacksona, ujęta w dwie wielkie dłonie, i długa, żółta jego broda spływająca na struny gitary położonej na stole; wyprostowana i nieruchoma poza Karaina, jego głos – wszystko to wywierało wrażenie, którego zapomnieć niepodobna. Siedział naprzeciw nas po drugiej stronie stołu. Ciemna głowa i brązowy tors widniały nad matową taflą drzewa, lśniące i nieruchome, jak odlane z metalu. Tylko usta poruszały się, a oczy żarzyły, gasły, jaśniały znów lub patrzyły ponuro w przestrzeń. Słowa jego płynęły wprost z udęczonego serca. Snuły się cicho, niby smutny szmer bieżącej wody; czasem brzmiały rozgłośnie, jak łoskot wojennego gongu, albo wlokły się powoli jak znużeni wędrowcy, albo gnały naprzód zdjęte trwogą.

## IV

Oto mniej więcej, co nam opowiedział:

– Było to po owych wielkich zaburzeniach, kiedy przymierze czterech państw Wajo zostało zerwane. Walczyliśmy między sobą, a Holendrzy śledzili nas z daleka, czekając, aż nasze siły się wyczerpią. Potem ujrzeliśmy dym ich statków wojennych przy ujściu naszych rzek, a wielcy ich mężowie przybyli w łodziach pełnych żołnierzy, aby mówić nam o opiece i pokoju. Odpowiedzieliśmy ostrożnie i mądrze, gdyż wioski nasze były spalone, częstokroty słabe, lud wyczerpany, a broń stępiona. Przybyli i odjechali; wiele było gadaniny, ale po ich odjeździe wszystko wyglądało jak dawniej; widzieliśmy tylko obce statki krążące u naszych wybrzeży i kupcy holenderscy zjawili się niebawem pod gwarancją bezpieczeństwa. Mój brat był władcą i jednym z tych, którzy dali ową gwarancję. Byłem wówczas młody, walczyłem podczas zaburzeń, a Pata Matara walczył u mego boku. Dzieliliśmy głód, niebezpieczeństwo,

zmęczenie i triumfy. Oczy jego szybko chwytaly grozace mi ciosy, a moje ramie dwukrotnie ocalilo mu zycie. Tak chcialo jego przeznaczenie. Byl moim przyjacielem. A slynal posrod nas i nalezal do tych, ktorzy otaczali mego brata-wladce. Przemawial podczas obrad; odwaga jego byla wielka; podlegalo mu wiele osad lezacych wokol rozleglego jeziora, ktore znajduje sie w srodku naszego kraju, jak serce znajduje sie w srodku ludzkiego ciala. Gdy wnoszono do kampongu miecz zwiastujacy jego przybycie, w gaju owocowym szeptały rozciekawione dziewczęta, bogaci mężowie naradzali się w cieniu i przygotowywano ucztę wśród śpiewów i rozradowania. Cieszył się łaską władcy i miłością ubogich. Kochał wojnę, polowanie, czar kobiet. Posiadał klejnoty, szczęśliwą broń i ludzkie przywiązanie. Był to mąż srogi; i nie miałem przyjaciela poza nim.

Dowodziłem wówczas strażą czuwającą u częstokołu zbudowanego przy ujściu rzeki i w imieniu mego brata pobierałem myto od przejeżdżających czółen. Pewnego dnia zobaczyłem holenderskiego kupca kierującego się w górę rzeki. Miał z sobą trzy łodzie; nie żądałem od niego myta, ponieważ dym holenderskich statków unosił się nad horyzontem i byliśmy jeszcze za słabi, aby zapomnieć o traktatach. Pojechał w górę rzeki pod gwarancją bezpieczeństwa, a brat mój udzielił mu opieki. Holender oświadczył, że przybywa, żeby z nami handlować. Słuchał naszych głosów, gdyż jesteśmy ludźmi, którzy przemawiają otwarcie i bez strachu; liczył nasze włócznie, oglądał drzewa, bieżące wody, trawę nadbrzeżną, stoki naszych wzgórz. Udał się do kraju Matary i tam pozwolono mu wybudować dom. Handlował i sadił rośliny. Lekceważył nasze radości, nasze myśli i nasze troski. Twarz jego była czerwona, włosy jak ogień, oczy blade jak nadrzeczna mgła; ruchy miał ciężkie i mówił grubym głosem; śmiał się głośno jak głupiec i dwornie przemawiać nie umiał. Był to wielki, szyderyczy mężczyzna, który patrzył w twarze kobiet i kładł rękę na ramieniu wolnych ludzi, Jak wysoko urodzony władca. Znosiliśmy go cierpliwie. Czas mijał.

A potem siostra Pata Matary uciekła z kampongu i zamieszkała w domu Holendra. Była to pani wielka i samowolna; widziałem raz, jak niewolnicy nieśli ją na plecach wysoko ponad tłumem. Twarz miała odkrytą; słyszałem, jak wszyscy mężczyźni mówili, że piękna jest niezmiernie, że na jej widok milknie rozum, a zachwyt porywa serce. Ucieczka jej przeraziła wszystkich. Twarz Matary poczerniała od hańby, gdyż wiedział, że obiecano jego siostrę innemu mężczyźnie, Matara poszedł do domu Holendra i rzekł: „Wydaj mi ją na śmierć – to córka wielkiego rodu”. Biały człowiek odmówił i zamknął się w domu, a służba jego wartała dniem i nocą z nabitymi strzelbami. Matara pienił się z wściekłości. Brat mój zwołał naradę. Ale holenderskie statki krążyły w pobliżu i warowały chciwie u naszych wybrzeży. Więc brat mój rzekł: „Jeśli on teraz zginie, kraj za tę krew zapłaci. Poniechajmy go, póki nie staniemy się silniejsi i póki statki nie odpłyną”. Matara był mądry, więc czekał i śledził Holendra. Lecz biały lękał się o jej życie i odjechał.

Zostawił swój dom, swoje plantacje i swój dobytek! Odjechał, zbrojny i groźny, i rzucił wszystko – dla niej! Porwała jego serce. Zza częstokołu widziałem, jak puścił się na morze w wielkiej łodzi. Z pomostu dla wojowników obaj z Matara patrzyliśmy na jego odjazd. Siedział na rufie ze skrzyżowanymi nogami i trzymał oburącz strzelbę, a lufa błyszczała ukośnie przed jego wielką, czerwoną twarzą. Szeroka rzeka stała się pod nim – równa, gładka, połyskliwa, jak srebrzysta równina; statek zaś, wydający się z brzegu bardzo krótki i bardzo czarny, sunął po srebrnej równi w dal, ku błękitowi morza.

Matara, stojąc u mego boku, po trzykroć krzyknął jej imię wśród bólu i złorzeczeń. Wzruszył moje serce. Imię zabrzmiało trzy razy; i trzy razy ujrzałem oczyma duszy zamkniętą pod pokładem kobietę z rozpuszczonym włosom, odchodzącą od swego kraju i swego plemienia. Gniew czułem – i smutek. Dlaczego? I wnet zacząłem krzyczeć zniewagi i przekleństwa. Matara rzekł: „Teraz, kiedy opuścili nasz kraj, życie ich do mnie należy. Pójdę za nimi i uderzę, i cenę krwi spłacę sam”. Wielki wiatr wiał ku zachodzącemu słońcu przez pustą rzekę. Krzyknąłem: „Pójdę u twego boku!” Pochylił głowę na znak zgody. Tak chcialo jego prze-



znaczenie. Słońce zaszło, a drzewa nad naszymi głowami poruszały gałęzmi z wielkim szumem.

Trzeciego dnia opuściliśmy kraj na prao handlowym.

Naprzeciw wyszło nam morze – szerokie, bezdrożne i nieme. Płynący statek śladu nie zostawia. Skierowaliśmy się ku południowi. Był księżyc w pełni; i patrzyliśmy na niego mówiąc: „Gdy zabłyśnie następny księżyc, oświetli nam drogę powrotną; a oni będą już martwi”. Od tego czasu upłynęło lat piętnaście. Wiele księżyców dojrzało i zwiędło, a ja kraju mego już nie zobaczyłem. Wzięliśmy kurs na południe; dopędziliśmy wiele statków; zbadaliśmy brzegi i zatoki; ujrzeliśmy kraniec naszego wybrzeża i naszej wyspy – stromy przylądek nad niespokojną cieśniną, kędy snują się cienie rozbitych okrętów i topielcy krzyczą po nocach. Teraz już szerokie morze otaczało nas zewsząd. Ujrzeliśmy wielką górę palącą się pośród wody; ujrzeliśmy tysiące wyseppek rozsypanych jak okruchy żelaza wystrzelone z wielkiej armaty; ujrzeliśmy wielkie wybrzeże, najeżone górami i przylądkami, rozciągnięte szeroko w słońcu z zachodu na wschód. To była Jawa. Powiedzieliśmy sobie: „Oni są tam; czas ich nadchodzi i powrócimy wnet albo umrzemy wolni od hańby”.

Wylądowaliśmy. Czyż jest w tym kraju co dobrego? Ścieżki biegną proste i twarde, i pokryte kurzem. Kamienne kampongi, pełne białych twarzy, otoczone są urodzajnymi, polami, lecz każdy człowiek, którego napotkasz, jest niewolnikiem. Radzowie żyją pod ostrzem cudzoziemskiego miecza. Wstępowaliśmy na góry, przebywaliśmy doliny; o zachodzie wchodziliśmy do wsi. Pytaliśmy każdego: „Widzieliście białego człowieka?” Niektórzy wytrzeszczali, oczy, inni śmieli się; kobiety dawały nam czasem posiłek z trwogą i szacunkiem, jak gdybyśmy byli szaleńcami z– bożego dopustu; ale niektórzy nie rozumieli naszego języka, inni klęli nas albo ziewając pytali z pogardą o przyczyny naszych poszukiwań. Raz, gdy ruszaliśmy w dalszą drogę, jakiś starzec krzyknął za nami: „Dajcie temu spokój!”

Wędrowaliśmy dalej. Kryjąc broń, ustępowaliśmy pokornie z drogi jeźdźcom; zginaliśmy się nisko na dziedzińcach władców, którzy nie byli niczym więcej jak niewolnikami. Błądziliśmy nieraz polem i dżunglą. Pewnej nocy w lesie spletanym lianami trafiliśmy na miejsce, gdzie stare mury leżały zwalone wśród drzew, a dziwne kamienne bóstwa – rzeźbione wizerunki diabłów o wielu rękach i nogach, o ciałach, oplecionych węzami, o głowach dwudziestu, bóstwa dzierzące tysiąc mieczów – zdawały się budzić do życia i grozić nam w świetle ogniska. Nic nas nie przerażało. A wędrując drogami, i u każdego ogniska, i na każdym noclegu, mówiliśmy zawsze o niej i o nim. Czas ich nadchodził. Nie mówiliśmy o niczym innym. Nie mówiliśmy o głodzie, pragnieniu, znużeniu i upadających sercach. Mówiliśmy o niej i o nim! Nie! Tylko o niej. I myśleliśmy o nich – o niej! Matara zapamiętywał się ponuro przy ognisku. A ja siedziałem i myślałem... aż nagle stawała mi znów przed oczyma postać kobiety pięknej i młodej, i wspaniałej, i dumnej, i tkliwej, która rzuciła swój kraj i swoje plemię. Matara mówił: „Kiedy ich odnajdziemy, zabijemy ją najpierw, aby zmyć hańbę, a potem mężczyzna zginąć musi”. Odpowiadałem: „Tak być powinno. To twoja zemsta Patrzył we mnie długo wielkimi, zapadłymi oczami.

Wróciliśmy na wybrzeże. Nogi nasze krwawiły, ciała wychudły. Sypialiśmy w łachmanach, w cieniu kamiennych ogrodzeń; brudni i wynędzniali, czailiśmy się przy bramach wiodących na dziedzińce białych ludzi. Włochate psy ujadły na nas, a słudzy krzyczeli z daleka: „Precz stąd!” Nisko urodzeni nędznicy, którzy pilnują ulic wśród kamiennych kampongów, pytali nas, kim jesteśmy. Kłamaliśmy, płaszczyliśmy się z uśmiechem, z nienawiścią w sercu i snuliśmy się wciąż to tu, to tam, wypatrując ich obojga – jego, białego mężczyzny z włosami jak płomień, i jej, kobiety, która złamała wiarę i za to umrzeć musi. Szukaliśmy ciągle. W końcu zdawało mi się, że widzę jej twarz w twarzy każdej napotkanej kobiety. Biegliliśmy szybko. Nie! Czasem Matara szeptał: „Widzę go tam!” – i czekaliśmy zaczajeni. Mężczyzna zbliżał się... To nie był on – ci Holendrzy wszyscy są do siebie podobni. Cierpeliśmy mękę zawodu. We śnie widywałem jej twarz i radowałem się, i smuciłem... Dłaczego?... Zdawało

mi się często, że słyszę jakiś bliski szept. Odwracałem się szybko. Nie było jej! I gdy wlekliśmy się mozolnie od kamiennego miasta do kamiennego miasta, wydawało mi się nieraz, że słyszę obok siebie lekkie kroki. Przyszedł czas, gdy słyszałem je zawsze – i byłem szczęśliwy. I myślałem, oszołomiony i wyczerpany, chodząc po słonecznym żarze twardymi ścieżkami białych ludzi – myślałem: ona jest z nami! Matara stał się ponury. Bywaliśmy często głodni.

Sprzedaliśmy rzeźbione pochwy naszych krysów – pochwy z kości słoniowej, o złotych brzegach. Sprzedaliśmy rękojeści zdobne drogimi kamieniami. Lecz zatrzymaliśmy ostrza – na nich. Ostrza, które zadają ciosy tylko śmiertelne – zatrzymaliśmy ostrza na nią... Dlaczego? Była przecież zawsze u mego boku... Cierpieliśmy głód. Zebraliśmy. Wreszcie opuściliśmy Jawę.

Udaliśmy się na zachód, udaliśmy się na wschód. Widzieliśmy wiele krajów, tłumy obcych twarzy; ludzi, którzy mieszkają na drzewach, i ludzi, którzy zbadają swoich starców. Wycinaliśmy rotan w lesie za garść ryżu; zarabialiśmy na życie, zamiatając pokłady na wielkich r kretach i słuchając przekleństw rzucanych na nasze głowy. Zapracowywaliśmy się po wsiach; wędrowaliśmy morzami z plemieniem Bajów, które ojczyzny nie posiada, Walczyliśmy za pieniądze; pracowaliśmy dla ludzi z plemienia Goram, którzy nas oszukali; i na rozkaz gburówaty białych twarzy nurkowaliśmy, szukając pereł w jałowych zatokach, usianych czarnymi skałami, na piaszczystym bezludnym wybrzeżu. A wszędzie czatowaliśmy, słuchaliśmy, wypytywaliśmy się. Pytaliśmy kupców, rozbójników, białych ludzi. Słyszeliśmy kpiny, szyderstwo, pogrożki, słowa pełne ciekawości i słowa pełne pogardy. Nie znaleźliśmy spoczynku; nie myśleliśmy nigdy o domu, bo nasze dzieło nie było dokonane. Minął rok, potem drugi. Przestałem liczyć noce, miesiące, lata. Czuwałem na Matarę. Ostatnia garść ryżu była zawsze dla niego; jeśli zabrakło wody, on wypijał ostatek; przykrywałem go, kiedy drżał z zimna, a gdy gorąca niemoc na niego przysła, przesiadzałem bezsennie wiele nocy, wachlując mu twarz. Był to mąż srogi i mój przyjaciel. Mówił o niej z wściekłością za dnia, ze smutkiem w nocy: wspominał ją w zdrowiu i chorobie. Nie mówiłem mu nic; ale widziałem ją każdego dnia – zawsze! Z początku widziałem tylko jej głowę, niby głowę kobiety idącej wybrzeżem w niskiej mgłę nadbrzeżnej. Potem siadywała przy naszym ognisku. Widziałem ją! Patrzyłem na nią! Miała tklive oczy i czarowne oblicze. Szeptalem do niej w ciemnościach. Matara odzywał się czasem sennie: „Do kogo mówisz? Kto tam jest?” Odpowiadałem szybko: „Nikt...” To było kłamstwo! Nie opuszczała mnie nigdy. Dzieliła ciepło naszego ogniska, siedziała na moim posłaniu z liści, płynęła za mną morzem... Widziałem ją!... Mówię wam, że widziałem długie, czarne włosy rozsypane po fali srebrzonej miesięcznym światłem! Widziałem, jak zagarniała wodę nagimi ramionami, płynąc obok szybkiego prao. Była piękna, była wierna i wśród ciszy obcych krajów mówiła do mnie szeptem w języku mego plemienia. Nikt jej nie widział: nikt jej nie słyszał: była tylko moja! W świetle dziennym szła przede mną mozolnymi ścieżkami, kołysząc się z lekka; postać jej była prosta i gibka jak pień smukłego drzewa; pięty jej były obłe i gładkie jak skorupki jaj; wabiła mnie krągłym ramieniem. Nocą patrzyła mi w twarz. I była smutna! Jej oczy spoglądały czule i trwożnie; głos brzmiał miękko i błagalnie. Szepnąłem raz: „Nie umrzesz?” – Uśmiechnęła się... i odtąd uśmiechała się zawsze!... Widok jej dawał mi odwagę do zniesienia trudów i znoju; były to czasy ciężkie, lecz ona koła moją troskę. Wędrowaliśmy cierpliwie, wciąż szukając. Poznaliśmy rozczarowania i zwodne nadzieje; poznaliśmy niewolę, chorobę, pragnienie, nędzę, rozpacz... Dość! Znaleźliśmy ich!

Wykrzyknął ostatnie słowa i urwał. Twarz jego była niewzruszona, tak jak i cała postać; wyglądał na człowieka pogrążonego w transie. Hollis usiadł nagle i oparł się łokciami o stół. Jackson poruszył się, trącając gitarę. Żalony brzęk nappełnił kabinę zmaconym drganiem i zamarł powoli. A Karain zaczął znów mówić. Hamowana dzikość jego tonu zdawała się wzbierać jak głos przenikający z zewnątrz, jak dźwięk nie wymówiony, choć słyszany; ten dźwięk przepelnił kajutę i ogarnął głuchym szmerem nieruchomą postać siedzącą w fotelu.

– Wyruszyliśmy do Atjeh, gdzie toczyła się wojna, lecz statek osiadł na mieliźnie i musieliśmy wylądować w Delii. Zarobiliśmy przedtem trochę pieniędzy i kupiliśmy strzelbę od kupców z Selangory, jedną jedyną strzelbę, która dawała ognia od iskry skrzesanej przez kamień. Niósł ją Matara. Wylądowaliśmy. Mieszkało tam wielu białych ludzi, którzy uprawiali tytoń na zdobytych równinach – a Matara... Ale mniejsza z tym. Zobaczył go!... Tego Holendra... nareszcie!... Podpełziliśmy i zaczęliśmy go śledzić. Śledziliśmy go dwie noce i jeden dzień. Miał dom – duży dom na polance w pośrodku swoich pól; kwiaty i krzewy rosły nokoło; wąskie ścieżki z żółtej ziemi biegły wśród strzyżonej trawy, a gęste żywopłoty nie dawały ludziom przystępu. Trzeciej nocy przyszlismy uzbrojeni i legliśmy za żywopłotem.

Bujna rosa zdawała się wsiąkać w nasze ciała i mroziła nam szpik w kościach. Trawa, gałęzie, liście pokryte kroplami wody szare były w świetle księżyca.. Matara, zwinięty w kłębek, drżał przez sen. Zęby szczękały mi tak głośno, że bałem się, aby ten hałas nie zbudził całej okolicy. Gdzieś daleko stróż pilnujący domów białych ludzi kołatałi drewnianymi kołatkami i hukali w ciemnościach. I – jak każdej nocy – ujrzałem ją u swego boku. Już się nie uśmiechała!... Ogień męki palił się w mych piersiach, a ona szeptała ze współczuciem i litością, i słodyczą – jak to kobiety potrafią. Koła ból mojej duszy; nachyliła nade mną twarz – twarz kobiety, która porywa serca mężczyzn i pozbawia ich rozumu. Była tylko moja i nikt jej nie mógł widzieć – nikt z żyjących. Gwiazdy przeświecały przez jej łono, przez rozpuszczone włosy. Zmógł mnie żal i tkliwość i smutek. Matara spał... Czy i ja spałem?... Matara potrząsał moim ramieniem, a ogień słońca suszył trawę, liście, zarośla. Był dzień. Strzępy białej mgły wisiały wśród gałęzi.

Czy to była noc, czy też dzień? Znowu nic nie widziałem; aż wreszcie Matara zaczął szybko dyszeć, leżąc w trawie – i wtedy ją zobaczyłem. Zobaczyłem ich oboje. Wyszli przed dom. Usiadła na ławce pod murem, a gałęzie ciężkie od kwiatów pięły się wysoko nad jej głową, zwisały nad włosami. Trzymała na kolanach szkatułkę i liczyła; ile jej pereł przybyło. Holender stał tuż obok i spoglądał na nią. Uśmiechnął się do niej: białe jego zęby błysnęły; włosy nad wargami wyglądały jak dwa skręcone płomienie. Był wielki i tłusty, i wesoły, i nieulekły. Matara wziął szczyptę świeżego prochu z zagłębienia dłoni, zdrapał panewkę paznokciem wielkiego palca i oddał mi strzelbę. Mnie! Wziąłem ją... O losie!

Szepnął mi, leżąc na brzuchu: „Podpełznę blisko i rzucę się na nią... musi umrzeć z mojej ręki. Ty weźmiesz na cel tego tłustego wieprza. Niech zobaczy, jak zmywam swoją hańbę z oblicza ziemi; a potem... tyś mój przyjaciel – zabij pewnym strzałem”. Nie rzekłem nic. Nie było powietrza w mej piersi – nie było powietrza na świecie. Matara znikł nagle. Zakołysała się trawa; potem krzak zaszeleścił. Podniosła głowę. Ujrzałem ją! Pocieszycielkę bezsennych nocy i dni mozolnych; towarzyszkę niespokojnych lat! Ujrzałem ją... Patrzyła wprost na miejsce, gdzie leżałem skulony. Była taką, jakem ją latami widywał: wierną towarzyszką u mego boku. Patrzyła smutnymi oczyma i miała uśmiech na wargach. Patrzyła na mnie... uśmiechała się! Ach, gdybym jej nie był obiecał, że nie umrze!

Choć znajdowała się daleko, czułem ją obok siebie. Ręce jej pieściły mnie, a głos szeptał nade mną, wkoło mnie; „Kto będzie twoją towarzyszką? Kto cię pocieszy, jeśli umrę?” Spostrzegłem, że kwitnący gąszcz na lewo od niej drgnął z lekka... Matara był gotów... Krzyknąłem głośno: „Wracaj!”

Zerwała się; kasetka spadła; perły rozlały się strumieniem u jej stóp. Wielki Holender toczył groźnymi oczami w blasku słonecznym. Strzelba podniosła się do mego ramienia. Kłęczałem i czułem się niezłomny – niezłomniejszy od drzew, skał, gór. Ale przed długą, nieruchomą lufą pola, dom, ziemia i niebo chwiały się tam i sam – jak cienie w lesie w wietrzny dzień. Matara wypadł z gąszczu; płatki poszarpanych kwiatów wzbity się przed nim wysoko, jak pędzone burzą. Posłyszałem krzyk kobiety; ujrzałem, jak rzuca się rozpostartymi ramionami przed białego człowieka. Była kobietą mego plemienia i krwi szlachtetnej. One są takie! Posłyszałem jej krzyk pełen niepokoju, trwogi – i wszystko naraz stanęło jak wryte. Pola,

dom, ziemia, niebo stanęły, a Matara skoczył na nią z podniesioną ręką. Pociągnąłem na cyniel, ujrzałem iskłę, wystrzału nie usłyszałem; dym owiał mi twarz i zobaczyłem Matarę padającego głową naprzód. Legł z rozkrzyżowanymi ramionami u jej nóg. Ha! Pewny strzał! Blask słońca zaciążył mi na plecach zimnem dotkliwszym od chłodu źródlanej wody. Pewny strzał... Rzuciłem strzelbę. Tych dwoje stało nad martwym człowiekiem, jak gdyby ich coś urzekło. Krzyknąłem do niej: „Żyj i pamiętaj!” Potem błądziłem czas jakiś w zimnym mroku.

Usłyszałem za sobą głośnie krzyki, tupot wielu nóg; obcy ludzie mnie otoczyli, krzyczeli mi w twarz bezładne słowa, popychali mnie, ciągnęli, podtrzymywali... Stałem przed wielkim Holendrem; patrzył we mnie jak wyzbyty rozumu. Chciał zrozumieć, co się stało, mówił prędko, wspominał o wdzięczności, ofiarowywał mi jedzenie, przytułek, złoto – zadawał wiele pytań. Roześmiałem mu się w twarz i rzekłem: „Jestem podróżnym z plemienia Korinchi; idę tamtą drogą z Peraku i nie wiem nic o zabitym. Przechodząc tędy, usłyszałem strzał, a wy, ludzie bez głowy, wypadliście i wciągnęliście mnie tutaj”. Holender podniósł w górę ramiona, dziwił się, nie chciał wierzyć, nie mógł zrozumieć, wykrzykiwał coś w swoim języku! A ona objęła go za szyję i przez ramię patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami. Uśmiechałem się i patrzyłem na nią; uśmiechałem się i czekałem, aby usłyszeć dźwięk jej głosu. Biały zapytał nagle: „Czy go znasz?” Słuchałem – życie moje było w mych uszach! Popatrzyła na mnie długo, popatrzyła na mnie nieugiętym wzrokiem i rzekła głośnie: „Nie! nigdy go przedtem nie widziałam”. Co? Nigdy przedtem? Już zapomniała? Czy to możliwe?! Zapomniała już – po tylu latach... tylu latach wędrówek, obcowania, trosk, czułych słów... Już zapomniała!... Wyrwałem się z rąk, które mnie chciały zatrzymać, i odszedłem bez słowa... Pozwolili mi odejść.

Zmęczony byłem. Czy spałem? Nie wiem. Pamiętam, że szedłem szeroką ścieżką pod jasnym światłem gwiazd; a ten obcy kraj wydał mi się taki wielki, pola ryżowe takie rozległe, że gdy spojrzałem wokoło zakręciło mi się w głowie od tego ogromu. Potem zobaczyłem las. Zaciążyło mi radosne światło gwiazd. Skręciłem w bok ze ścieżki i wszedłem do lasu, który był bardzo ciemny i bardzo smutny.

## V

Karain mówił coraz ciszej i ciszej, jak gdyby się od nas oddalał, aż wreszcie ostatnie jego słowa zabrzmiały słabo, lecz wyraźnie, niby krzyknięte w pogodny dzień z bardzo wielkiej odległości. Nie poruszał się wcale. Utkwił wzrok w ścianie za głową Hollisa, który siedział naprzeciwko niego, równie jak i on nieruchomy. Jackson odwrócił się bokiem i oparł łokieć o stół, ocieniając ręką oczy. A ja patrzyłem, zdumiony i poruszony; patrzyłem na tego człowieka, wiernego swej wizji, oszukanego przez marzenie, odepchniętego przez złudę; człowieka, który szukał ratunku u nas, niewierzących; ratunku – przed myślą. Zapadło głębokie milczenie, pełne, zda się, bezszelestnych widziadeł, rzeczy żałosnych, mrocznych i niemych; niewidzialna ich obecność sprawiła, że ulgą i opieką wydało mi się głośnie, tętniące tykanie dwóch okrętowych chronometrów, znaczących sekundy czasu w Greenwich. Karain patrzył przed siebie kamiennym wzrokiem. Spoglądałem na jego sztywną postać i myślałem o tułaczce tego człowieka, o tajemniczej odysei zemsty, o wszystkich ludziach, którzy błądzą wśród złudzeń, o złudzeniach równie niespokojnych jak i ludzie, o złudzeniach wierności i złudzeniach wiarołomstwa, o złudzeniach, które dają radość, dają smutek, dają ból, dają spokój, o nieodpartych złudzeniach oblekających życie i śmierć w pogodę, wzniosłość, mękę lub ohydę.

Rozległ się cichy szept; szept, który, wypływał jakby z zewnątrz, z uspiętego świata, i przenikał do kabiny w krąg światła rzucony przez, lampę. To Karain mówił dalej.

– Mieszkalem w lesie. Ona już nie przyszła; Nigdy! Ani razu. Byłem sam. Zapomniała o mnie. To i dobrze. Nie potrzebowałem jej; nie potrzebowałem nikogo. Znalazłem opuszczoną chatę na polance. Nikt tam nie zaglądał. Czasami słyszałem w oddali głosy ludzi idących ścieżką. Spałem; wypoczywałem; był tam dziki ryż, woda w strumieniu – i spokój! Co noc siedziałem samotnie przed chatą u niewielkiego ogniska. Wiele nocy przeszło nad moją głową.

Aż jednego wieczoru, gdy posiłem się i siedziałem przy ognisku, patrząc w ziemię, zacząłem wspominać swoje wędrówki. Nagle podniosłem głowę. Nie słyszałem żadnego dźwięku, szelestu ni kroków – a jednak podniosłem głowę. Jakiś człowiek szedł ku mnie przez polankę. Czekałem. Zbliżył się bez pozdrowienia i przykucnął w świetle ogniska. Potem zwrócił się do mnie. Był to Matara. Patrzył we mnie dziko wielkimi, zapadłymi oczami. Noc była zimna; ciepło zamarło nagle w ognisku, a Matara wciąż we mnie patrzył. Powstałem i odszedłem, zostawiając go u ognia, w którym ciepło zamarło.

Szedłem całą noc, cały dzień, a wieczorem rozpalilem wielki ogień i usiadłem, aby czekać na niego. Nie przyszedł w krąg światła. Słyszałem, jak krążył wśród krzaków, to tu, to tam – i szeptał, szeptał. Zrozumiałem wreszcie jego słowa – słyszałem je już przedtem: „Tyś mój przyjaciel. Zabij pewnym strzałem”.

Znosiłem to, póki mogłem wytrzymać, wreszcie rzuciłem się do ucieczki – tak jak i dziś w nocy, gdy przeskoczyłem ostrokół i popłynąłem do was. Biegłem i biegłem, jak dziecko porzucone samotnie z dala od chat. A on leciał bez szelestu przy moim boku i szeptał, szeptał – niewidzialny i obecny. Szukałem teraz ludzi – pragnąłem mieć ludzi dokoła siebie! Ludzi, którzy nie umarli! I znów wędrowaliśmy we dwóch. Szukałem niebezpieczeństw, walk i śmierci. Walczyłem w Atjeh, a mężny lud dziwił się odwadze cudzoziemca. Ale było nas dwóch; on odpierał ciosy... Dlaczego? Pragnąłem spokoju, a nie życia. I nikt go nie widział; nikt o niczym nie wiedział – nie śmiałem powiedzieć nikomu. Czasem opuszczał mnie, ale nie na długo; powracał i szeptał znów albo wpatrywał się we mnie. Dziwna trwoga szarpała mi serce, lecz umrzeć nie mogłem. Wówczas to spotkałem starego człowieka.

Znaliście go wszyscy. Ludzie nazywali go moim czarownikiem albo sługą noszącym za mną miecz. Ale on był dla mnie ojcem, matką, opieką, ratunkiem i spokojem... Kiedym go spotkał po raz pierwszy, wracał z pielgrzymki i usłyszałem, jak śpiewał modlitwę o zachodzie. Udał się do świętego miejsca z synem, żoną syna i jego malutkim dzieciątkiem, a w drodze powrotnej z łaski Najwyższego umarli wszyscy troje; mąż w sile wieku, młoda matka, dzieciątko – wszyscy pomarli; i starzec wrócił do swego kraju sam. Był to pielgrzym pogodny i nabożny, bardzo mądry i bardzo samotny. Powiedziałem wszystko. Przebywaliśmy razem czas jakiś. Mówił nade mną słowa współczucia, mądrości, modlitwy. Strzegł mnie przed cieniem umarłego. Błagałem go o jakiś amulet, który by mnie przed niebezpieczeństwem osłonił. Przez długi czas odmawiał, wreszcie dał mi go z uśmiechem i westchnieniem. Miał widać władzę nad duchem silniejszym niż duch mego zmarłego przyjaciela i odzyskałem znów spokój, ale odtąd nie mogłem usiedzieć w miejscu, pokochałem zamęt i niebezpieczeństwo. Starzec nigdy mnie nie opuszczał. Podróżowaliśmy razem. Wielcy mężowie witali nas radośnie; jego mądrość i moja odwaga wspomniane są dotychczas tam, gdzie zapomniano o waszej sile, o biali ludzie! Służyliśmy sułtanowi Sulu. Walczyliśmy przeciwko Hiszpanom. Zazналиśmy zwycięstw, nadziei, porażek, smutku, krwi, łez kobiecych... I po co to wszystko?... Uciekliśmy. Zebraliśmy wędrowców należących do wojennej rasy i przybyliśmy tu, aby znów walczyć. Resztę już wiecie. Jestem władcą zdobytego kraju, kochankiem wojny i niebezpieczeństw, bojownikiem i spiskowcem. Lecz starzec nie żyje i zmarły wziął mnie znowu w niewolę. Nie masz tego, który odpędzał żalostne i mściwe widziadło – który ucisza martwy głos! Moc jego czaru umarła z nim razem. I znów poznałem trwogę; i znów słyszę szept: „Zabij! Zabij! Zabij!...” Czy nie dosyć już zabijałem?

Pierwszy raz w ciągu tej nocy twarz Karaina zadrgała nagle szaleństwem i wściekłością. Chwiejne jego spojrzenia błędziły tu i tam, jak zalęknione ptaki podczas burzy. Zerwał się i krzyknął:

– Na duchy, które piją krew; na duchy, które żalą się nocą; na wszystkie duchy wściekłości, nieszczęścia i zagłady, przysięgam – przyjdzie dzień, kiedy uderzę w serce każdego, kogo napotkam!...

Wyglądał tak niebezpiecznie, że zerwaliśmy się wszyscy trzej na równe nogi, a Hollis pchnął ręką krys, który zleciał ze stołu. Zdaje mi się, że krzyknęliśmy jednocześnie. Przechwilowo trwał krótko; w następnej chwili Karain siedział znów spokojnie na fotelu, a trzej Europejczycy stali nad nim z dość głupimi minami. Było nam trochę wstyd. Jackson podniósł krys i, rzuciwszy na mnie badawcze spojrzenie, oddał go Karainowi. Ten odebrał broń z wyniosłym skinieniem głowy i wetknął za sarong, przy czym z drobiazgową starannością nadał krysowi ściśle pokojowe położenie. Spojrzał ku nam w górę z gorzkim uśmiechem. Byliśmy zmieszani i pogiębieni. Hollis siadł bokiem na stole, objął dłonią podbródek i w milczącej zadumie spoglądał badawczo na Karaina. Odezwałem się wreszcie:

– Musisz pozostać ze swoim ludem. Jesteś mu niezbędny. I przecież istnieje zapomnienie. Nawet umarli przestają z czasem mówić.

– Czy jestem kobietą, która zapomina o długich latach, zanim powieka zdąży dwa razy się opuścić?! – wykrzyknął z gorzką urazą.

Zaskoczyły mnie jego słowa. To było wprost zdumiewające. Jego życie – ten okrutny miazg miłości i spokoju – wydawało mu się tak realne i niezaprzeczone jak każdemu z nas – świętemu, filozofowi czy też półgłówkowi – wydaje się realne i niezaprzeczone jego własne życie. Hollis mruknął:

– Nie uspokoić go waszymi komunałami. Karain zwrócił się do mnie:

– Znasz nas, tuanie. Żyłeś z nami. Dlaczego? Tego nie wiemy; ale rozumiesz nasze smutki i nasze myśli. Żyłeś z moim ludem i rozumiesz nasze pragnienia i nasze obawy. Pójdę z tobą. Do twego kraju, do twego ludu. Do twego ludu, który żyje w niewierze; dla którego dzień jest dniem, a noc nocą i niczym więcej – ponieważ rozumiecie tylko to, co widzicie oczami, a wszystkim innym pogardzacie. Do waszego kraju niewiary, gdzie umarli nie przemawiają, gdzie każdy człowiek jest mądry i swobodny, i spokojny.

– Świetnie powiedziane – mruknął Hollis z przebłyskiem uśmiechu.

Karain zwiesił głowę:

– Umieć pracować i walczyć... i być wierny – szepnął znużonym głosem – ale nie potrafię wrócić do niego, który czeka na mnie tam na wybrzeżu. Nie potrafię! Weźcie mnie z sobą... Albo też dajcie mi waszą siłę, waszą niewiarę... Zadajcie mi jakiś czar!

Wydawał się znużony do ostateczności.

– Tak, zabrać go do kraju – rzekł Hollis bardzo cicho, jak gdyby odpowiadał samemu sobie. – To byłby dobry sposób. Po salonach też chodzą duchy, rozprawiając uprzejmie z panami i paniami, ale wzgardziłyby na pewno nagim ludzkim stworzeniem, takim jak nasz książęcy przyjaciel... Nagim... Obdartym! – należałoby właściwie powiedzieć. Żal mi go. Naturalnie, że niepodobna go zabrać. A koniec tego wszystkiego będzie taki – ciągnął, patrząc na nas – koniec będzie taki, że pewnego pięknego dnia Karain oszaleje wśród swych wiernych poddanych i wyśle, ilu się da, ad patres, nim zdobędą się na wiarołomstwo i zdecydują się go zabić.

Skiąłem głową. Uważałem za więcej niż prawdopodobne, że taki koniec przyjdzie na Karaina. Było jasne, iż dręczące myśli doprowadziły go do ostatecznego kresu ludzkiej wytrzymałości i niewiele już brakowało, aby wpadł w specjalny rodzaj szaleństwa właściwy jego rasie. Wytchnienie, jakie miał za życia starego pielgrzyma, sprawiło, że powrotu męczarni znieść już nie mógł. To było jasne.

Podniósł nagle głowę; wydawało się nam, przez chwilę, że się był zdrzemnął.

– Dajcie mi opiekę... albo dajcie mi waszą siłę! – zawołał. – Jakiś czar... jakąś broń!

I znów broda mu opadła na piersi. Popatrzyliśmy na niego, potem spojrzeliśmy po sobie z podejrzliwością i lękiem, jak ludzie, którzy natknęli się niespodzianie na jakieś tajemnicze nieszczęście. Oddał się w nasze ręce; powierzył nam swoje błędy i swoją mękę, swoje życie i swój spokój; i nie wiedzieliśmy, co począć z tym zagadnieniem, które wyłoniło się z mroku. My – trzech biali ludzie patrzący na tego Malaja – nie umieliśmy znaleźć ani jednego odpowiedniego słowa, jeśli istniało słowo mogące rozwiązać tę sytuację. Zatopiliśmy się w myślach, a serca w nas upadły. Wydało się nam, że wszyscy trzech zostaliśmy wezwani do wrót piekielnego państwa, aby zawyrokować o losie wędrowca, który opuścił nagle świat pełen słońca i złudzeń.

– Daję słowo, nieźle ma wyobrażenie o naszej potędze – szepnął beznadziejnie Hollis. I znów zapadła cisza maçoną słabym pluskiem wody i nieustannym tykaniem chronometrów. Jackson skrzyżował nagie ramiona i oparł się plecami o grodz kabiny. Stał z głową nieco schyloną pod belką podtrzymującą sufit; jasna broda rozpościerała się wspaniale na jego piersi; wyglądał jak nieporadny i łagodny olbrzym. W kajucie zapanował ponury nastrój; powietrze nasiąkało z wolna okrutnym, chłodem bezsilności i gniewliwym, bezlitosnym egoizmem; zaczęliśmy się buntować przeciw niezrozumiałej formie cierpienia, które się nam narzucało. Nie wiadomo było, co począć; zaczęliśmy gorzko odczuwać konieczność pozbycia się Karaina.

Hollis myślał i myślał, wreszcie roześmiał się i mruknął: „Siła... opieka... czary”. Zsunął się ze stołu i wyszedł, wcale na nas nie spojrzawszy. Wyglądało to na podłą dezercję. Zamieniliśmy z Jacksonem oburzone spojrzenia. Słyszeliśmy, jak Hollis przetrząsa rzeczy w swojej kajucie, nie większej od gołębiego gniazda. Czyżby ten smyk naprawdę kładł się już do łóżka? Karain westchnął. Sytuacja była nie do zniesienia!

Lecz Hollis pojawił się znów, trzymając oburącz małą, skórzaną szkatułkę. Postawił ją ostrożnie na stole, spojrzął na nas i odetchnął przy tym w dziwny sposób, jakby na chwilę zaniemówił albo jakby miał moralne wątpliwości, czy wolno mu ową szkatułkę pokazać. Ale bezczelna i niezawodna mądrość młodości dała mu w mig potrzebną odwagę. Rzekł, otwierając szkatułkę malutkim kluczykiem:

– No, chłopcy, zróbcie miny jak najbardziej uroczyste.

Prawdopodobnie wyglądaliśmy tylko na zaskoczonych i ogłupiałych, bo spojrzął przez ramię i rzekł gniewnie:

– To nie są żarty! Chcę coś zrobić dla niego. Wyglądajcież poważnie. Cóż, u licha!... Czy nie stać was na trochę kłamstwa... dla dobra przyjaciela?!

Karain zdawał się nie zwracać na nas uwagi, lecz gdy Hollis podniósł wieko szkatułki, oczy jego pobiegły ku niej – tak jak i nasze. Purpurowy atłas, którym była wysłana, rozgorzał jaskrawą, barwną plamą w ponurej atmosferze; zjawił się wyraźny cel dla wzroku, przyciągający oczy.

## VI

Hollis patrzył z uśmiechem w głąb szkatułki. Odbył niedawno wycieczkę do kraju przez Kanał Angielski. Nie było go sześć miesięcy i zjawił się w sam czas, aby wyruszyć z nami na tę ostatnią wyprawę. Nigdy przedtem nie widzieliśmy tej szkatułki. Hollis trzymał nad nią ręce i mówił do nas ironicznym tonem, ale twarz jego stała się poważna, jak gdyby wymawiał potężne zaklęcie nad przedmiotami leżącymi w szkatułce.

– Każdego z nas – mówił, urywając co chwila, przy czym pauzy dotkliwsze były od słów – każdego z nas – zgodzicie się z tym chyba – prześladowało wspomnienie o jakiejś kobiecie...

A co się tyczy przyjaciół... przyjaciół porzuconych mimochodem... ech! spytajcie sami siebie...

Urwał. Karain patrzył z natężeniem w szkatułkę. Głośny hałas rozległ się na górze na pokładzie. Jackson rzekł z powagą:

– Nie bądźże takim, podłym cynikiem.

– Ach, ty pocziwino! – rzekł posepnie Hollis. – Dowiesz się zaraz... Przecież ten Malaj był naszym przyjacielem...

Powtórzył kilka razy w zamyśleniu: – Malaj... przyjacielem. Malaj, przyjacielem – jak gdyby przeciwstawiał te słowa i ważył, po czym ciągnął już prędzej:

– Porządny chłop, dżentelmen w swoim rodzaju. Nie możemy, że tak powiem, odwrócić się plecami do jego zwierzeń i ufności, jaką w nas pokłada. Ci Malaje poddają się łatwo wrażeniom; szalenie są nerwowi, jak wiecie – a więc...

Zwrócił się raptem do mnie:

– Ty go znasz najlepiej – odezwał się rzeczowym tonem. – Czy uważasz, że jest fanatykiem? To znaczy... czy bardzo ściśle trzyma się swoich wierzeń?

– Nie zdaje mi się – wyjąkałem.

– Rzecz w tym, że tu chodzi o wizerunek... wryty portret – mruknął zagadkowo i zwrócił się znów do szkatułki. Zanurzył w niej palce. Wargi Karaina rozchyliły się, a oczy błyszczały; Patrzyliśmy w głąb szkatułki.

Było tam parę zwitków bawełny, papierek igieł, kawałek jedwabnej wstążki granatowego koloru, gabinetowa fotografia, na którą Hollis spojrzał ukradkiem, nim ją – odwróconą – położył na stole. Zdażyłem spostrzec, że była to fotografia młodej panny. Wśród mnóstwa różnych drobiazgów leżał tam pęk kwiatów, wąska biała rękawiczka o wielu guzikach, cienka paczka listów starannie związanych. Amulety białych ludzi! Czary i talizmany! Czary, które krzepią ducha, które miazdzą go bez litości; czary, których moc wyrwa westchnienie z piersi młodzieńca, a na twarz starca sprowadza uśmiech. Potężne amulety, co przyciągają radosne marzenia i myśli pełne żalu; co kruszą twarde serca, a miękkie hartują na niezłomną stal; Dary niebios – rzeczy ziemskie...

Hollis szperał w szkatułkę.

I wydało mi się przez tę chwilę oczekiwania, że kabina szkunera zapełnia się niewidzialnym żyjącym tętnem lekkich oddechów. Wszystkie duchy wygnane z niewiernego Zachodu przez ludzi, którzy twierdzą, że posiadli mądrość i swobodę, i spokój – wszystkie bezdomne duchy niewiernego świata pojawiły się nagle wokół Hollisa, schylonego nad szkatułką; wszystkie wygnane i czarowne duchy kochanych ongi kobiet; wszystkie piękne i tkliwe duchy ideałów – zachowanych w pamięci, zapomnianych, umiłowanych, znieprawionych, wszystkie odepchnięte i pełne wyrzutu duchy przyjaciół – podziwianych, uwielbianych, darzonych ufnością, spotwarzonych, zdradzonych, zabranych przez śmierć – wszystkie te duchy przybyły z niegościnnych okolic ziemi, aby stłoczyć się w mrocznej kajucie, jak gdyby ta kajuta była jedyną ich ostoją na szerokim świecie, opanowanym przez zwątpienie, jedynym źródłem wiary i zadośćuczynienia... Minęła sekunda – i wszystko znikło. Tylko Hollis stał naprzeciw nas, a w jego palcach błyszczał jakiś drobny przedmiot. Wyglądało to na pieniążek.

– Znalazłem nareszcie – rzekł.

Podniósł przedmiot do góry. Była to pensowa moneta z roku jubileuszowego – pozłacana, z dziurką przebitą u brzegu. Hollis spojrzał na Karaina.

Oto amulet dla naszego przyjaciela – rzekł do nas. – Rzecz sama przez się niezmiernie potężna, jak wiecie – pieniąż – a wyobraźnia Karaina już pracuje. Ten włóczęga pełen jest lojalności. Oby tylko jego purytanizm nie spłoszył się wizerunkiem...



Nie odrzekliśmy nic. Nie wiedzieliśmy, czy to ma nas zgorszyć, czy rozśmieszyć, czy przynieść nam ulgę. Hollis, zbliżywszy się do Karaina – który wstał jak gdyby strwożony – podniósł monetę i przemówił po malajsku.

– Oto wizerunek wielkiej królowej i najpotężniejsza ze wszystkich rzeczy znanych białym ludziom – rzekł uroczyście.

Karain zakrył dłonią rękojeść krysa na znak czci i utkwiał wzrok w głowie ozdobionej koroną.

– Niezwyciężona. Pobożna – szepnął.

– Potężniejsza jest niż Sulejman Mędrzec, który, jak wiesz, rozkazywał duchom – ciągnął Hollis poważnie. – Ja ci to daję.

Trzymał monetę na wyciągniętej dłoni i, patrząc na nas w zamyśleniu, odezwał się po angielsku:

– Ona także rozkazuje duchowi swego narodu: potężny ten demon, sumienny, bezwzględny, nieposkromiony... czyni wiele dobrego – niechcący... wiele dobrego... od czasu do czasu... i nie ścierpiałby żadnych awantur – choćby ze strony najzacniejszego ducha – o taką drobnostkę jak strzał naszego przyjaciela. No, otrząśnijcie się, wyglądacie, jakby was piorun raził. Pomóście mi wzbudzić w nim wiarę – od tego wszystko zależy.

– Ludzie jego będą się gorszyć – mruknąłem. Hollis spojrział przeciągle na Karaina, który zamarł w najwyższym podnieceniu. Stał sztywno z głową odrzuconą w tył; toczył dziko błyszczącymi oczyma, rozdęte jego nozdrza drgały.

– A niech tam! – rzekł wreszcie Hollis. – To zacny chłop. Dam mu coś, czego będę naprawdę żałował.

Wyjął wstążkę ze szkatułki, uśmiechnął się na jej widok wzgardliwie i wyciął nożyczkami kawałek skóry z dłoni rękawiczki.

– Zrobię mu coś takiego, wiecie, co to chłopci noszą we Włoszech.

Zaszył pieniądz w delikatną skórę, przymocował do wstążki i związał jej końce. Robił to z wielkim pośpiechem. Karain patrzył cały czas na jego palce.

– No więc – rzekł Hollis i przystąpił do Karaina. Patrzyli sobie z bliska w oczy. Wyteżony wzrok Karaina zagubił się w spojrzeniu Hollisa, który spoglądał władczo i rozkazująco pociemniałymi nagle oczami. Stanowili jaskrawy kontrast; jeden nieruchomy i jak z brązu, drugi – olśniewająco biały – wznosił powoli ramiona, których potężne mięśnie grały lekko pod skórą błyszczącą jak atlas. Jackson przysunął się bliżej z miną człowieka, który staje przy koleździe w ciężkim położeniu. Rzekłem z naciskiem, wskazując na Hollisa:

– Młody jest, ale mądry. Wierz mu!

Karain pochylił głowę. Hollis zarzucił mu lekko na szyję granatową wstążkę i odstąpił w tył.

– Zapomnij i żyj w pokoju! – zawołałem. Karain zdawał się budzić ze snu. „Ha!” – wymówił i otrząsnął się, jakby zrzucając jakiś ciężar.. Rozejrzał się pewnym wzrokiem. Na pokładzie ktoś ściągnął z luku zasłonę i fala światła wpadła do kajuty. Był już ranek.

– Czas na pokład – rzekł Jackson.

Hollis wciągnął kurtkę i ruszyliśmy, prowadzeni przez Karaina.

Słońce weszło już za wzgórzami i długie ich cienie kładły się na zatokę wśród perłowego światła. Powietrze było przezroczyście i chłodne. Wskazałem na krętą linię żółtych piasków.

– Nie ma go tam – rzekłem dobitnie do Karaina. – Już nie czeka. Odszedł na zawsze.

Pocisk jasnych, gorących promieni wpadł do zatoki przez szparę między dwoma szczytami i woda – jak zaczarowana – zajaśniała nagłą skrzącym się blaskiem.

– Nie! Nie czeka – rzekł Karain, popatrzawszy długo na brzeg. – Nie słyszę go – ciągnął powoli. – Nie!

Zwrócił się do nas:

– Znow odszedł – na zawsze! – zawołał.

Przytakiwaliśmy energicznie, raz po raz, bez najmniejszych skrupułów. Chodziło przede wszystkim o to, aby wyrzucić na nim potężne wrażenie, aby odczuł zupełne bezpieczeństwo – koniec udreki. Robiliśmy, co było w naszej mocy, i mam nadzieję, że ujawniliśmy dość silnie naszą wiarę i potęgę Hollisowego czaru, aby usunąć cień wszelkiej wątpliwości. W ciszy głosy nasze brzmiały radośnie naokoło Karaina, a nad jego głową niebo, przejrzyste i niepokalane, rozpięło delikatny błękit od brzegu do brzegu i dalej ponad zatokę, jakby chciało otoczyć pieszczotą swego blasku wodę, ziemię i tego człowieka.

Kotwica była podniesiona, żagle wisały nieruchomo i pół tuzina wielkich łodzi dążyło w naszą stronę, aby nas wyholować z zatoki. Wioślarze w pierwszej łodzi, która podpłynęła pod szkuner, podnieśli głowy i zobaczyli swego władcę stojącego między nami. Rozległ się cichy szmer zdumienia – potem okrzyk powitalny.

Karain opuścił nas i znalazł się jak gdyby od razu wśród wspaniałego przepychu swojej sceny, spowity w złudę niezawodnego powodzenia. Stał przez chwilę wyprostowany z nogą na kładce, z dłonią na rękojeści krysa, w pozie wojennej, i uwolniony od lęku przed zewnętrznym mrokiem, podniósł głowę wysoko, ogarniając pogodnym spojrzeniem zdobytą przez siebie piędź ziemi. Oddalone łodzie podjęły okrzyk powitalny, wielka wrzawa potoczyła się po wodzie; wzgórza rozbrzmiały echem, jakby odrzucając z powrotem życzenia długich lat życia i zwycięstw.

Zstąpił do czołna skoro tylko odbił od szkunera, uczciliśmy go trzema okrzykami. Zabrzmiały słabo i statecznie w porównaniu z dzikim tumultem wznieconym przez wiernych poddanych, ale nie było nas stać na nic innego. Karain stanął w łodzi, podniósł oba ramiona i wskazał na niezawodny amulet. Wzniesiliśmy ponowny okrzyk, a Malaje patrzyli zdumieni, niezmiernie zaintrygowani i poruszeni. Ciekaw jestem, co sobie myśleli. Co Karain myślał... co myśli czytelnik?

Holowano nas powoli. Widzieliśmy, jak Karain wysiadł i patrzył z brzegu za nami. Jakaś postać zbliżyła się do niego pokornie, lecz jawnie – i nie była to rozżalona zjawka. Zobaczyliśmy też innych ludzi biegnących ku niemu. Może spostrzeżono jego nieobecność? W każdym razie, poruszenie było wielkie. Koło Karaina zebrała się szybko gromada ludzi, a on kroczył wzdłuż piaszczystego wybrzeża, w otoczeniu rosnącej wciąż świty, trzymając się prawie na jednej, linii ze szkunerem. Mogliśmy przez szkła dojrzeć granatową wstążkę u jego szyi i białą plamkę na brązowych piersiach. Zatoka się budziła. Dym z ognisk porannych unosił się w lekkich skrętach nad szczytami palm; ludzie krążyli między chatami; stado bawołów galopowało ciężko po zielonym zboczu; smukłe postacie chłopców wywijających kijami ukazały się w wysokiej trawie, czarne i skaczące; barwny szereg kobiet z bambusowymi naczyniami na głowie sunął giętko na tle rzadkiego gaju drzew owocowych. Karain zatrzymał się wśród swych ludzi i skinął ku nam ręką; potem odłączył się od wspaniałego orszaku, podszedł nad sam kraj wody i skinął ku nam powtórnie. Szkuner wy dostał się na pełne morze, przesuwając się między dwoma stromymi przylądkami zamykającymi zatokę – i w tejże chwili Karain zniknął z naszego życia na zawsze.

Lecz pamięć o nim nie zagięła. W kilka lat później spotkałem na Strandzie Jacksona. Wspaniały był jak zawsze. Górował wysoko nad tłumem. Broda jego była złota, twarz czerwona, oczy niebieskie; na głowie miał szerokoskrzydły kapelusz ale brakowało mu kołnierzyka i kamizelki; wyglądał porywająco! Wrócił dopiero co do kraju – wysiadł na ląd tego samego dnia! Nasze spotkanie utworzyło wir w ludzkiej rzece. Spieszący się przechodnie wpadali na nas, potem obchodzili nas wkoło i wreszcie odwracali się raz jeszcze, aby spojrzeć na tego olbrzyma. Usiłowaliśmy wtłoczyć siedem lat życia w siedem wykrzykników, po czym, nagle zaspokojeni, ruszyliśmy statecznie jeden obok drugiego, udzielając sobie najświeższych nowin. Jackson rozejrzał się jak człowiek szukający znaków orientacyjnych na morzu i stanął przed wystawą Blanda. Miał zawsze namiętność do broni palnej, zatrzymał się

więc i przyglądał rzędowi sztucerów, doskonałych i srogich, wyciągniętych w szereg za taflą tkwiącą w czarnej ramie. Stałem obok niego. Zapytał nagle:

– Czy pamiętasz Karaina?

Skinałem głową.

– Przypomniało mi go to wszystko – ciągnąc twarzą tuż przy szkle... i widziałem, jak drugi Jackson, potężny i brodaty, patrzy w niego z natężeniem spomiędzy ciemnych, gładkich rur, która umieją leczyć tyle złudzeń. – Tak, to mi go przypomniało – ciągnął powoli. – Czytałem dziś rano dzienniki, walczą tam znowu. Karain tkwi w tym na pewno. Już on potrafi dopiec tym caballeros. No, szczęście mu Boże, biedakowi! Był doprawdy nadzwyczajny.

Szliśmy dalej.

– Ciekaw jestem, czy też amulet okazał się skuteczny... pamiętasz, naturalnie, amulet Hollisa. Jeśli był skuteczny, to nie wydano nigdy sześciu pensów z lepszym skutkiem. Biedak! Czy też pozbył się na dobre tego swojego przyjaciela? Mam nadzieję, że tak... Czy wiesz, zdaje mi się czasem, że...

Stanąłem i popatrzyłem na niego.

– Widzisz... Chodzi mi o to, czy... ta historia... rozumiesz? Czy to mu się naprawdę wydarzyło?... Jak myślisz?...

– Mój drogi – zawołałem – byłeś za długo poza krajem! Cóż za pytanie! Spójrz tylko na to wszystko.

Wodnisty blask zajaśniał na zachodzie i zgasł między dwoma rzędami murów; zbiorowisko łamanych dachów, kominy, złote litery rozpełzło po frontach domów i ciemny połysk okien – wszystko trwało zrezygnowane i ponure pod zstępującym mrokiem. Cała długa ulica, głęboka jak studnia i wąska jak korytarz, pełna była posępnego, nieustannego ruchu. Do uszu bił gwałtowny szelest i tupot szybkich kroków przy wtórze rozległego szmeru o słabym tętnie, złożonego jak gdyby z gorączkowych oddechów, bijących serc, zdyszanych głosów. Niezliczone oczy spoglądały przed siebie, nogi poruszały się spiesźnie, płynęły pozbawione wyrazu twarzy, kołysały się ramiona. A ponad tym wszystkim wąski, poszarpany pasek nieba przesłoniętego dymem rozciągał się kreto i nieruchomo między wysokimi dachami jak zbrukany sztandar powiewający nad zbiegowiskiem motłochu.

– Ta–a–a–k – rzekł Jackson w zamyśleniu. Wielkie szprychy dwukołowych dorożek obracały się z wolna u skraju chodników; bladolicy młodzian włókł się znużony obok swej laski, a poły jego płaszcz trzepotały się niemrawo w pobliżu pięt; konie stapały chwiejnie po śliskim bruku, podrzucając łbami; dwie młode panienki o błyszczących oczach przeszły, żywo rozmawiając; piękny, stary pan o czerwonej twarzy kroczył miarowo i głaskał białego węża; sznur wysokich żółtych reklam z niebieskimi literami zbliżał się chwiejnie i powoli, niby dziwaczne szczątki rozbitego okrętu płynące po rzece z kapeluszy.

– Ta–a–a–k – powtórzył Jackson. Jego niebieskie oczy spoglądały na wszystkie strony, pogardliwe, rozbawione i nieczule jak oczy chłopca. Niezgrabny sznur czerwonych, żółtych i zielonych omnibusów toczył się kołysząc, potworny i jaskrawy; dwoje obszarpanych dzieci przebiegło drogę; grupka brudnych mężczyzn z czerwonymi chustkami na gołych szyjach czyhała z boku, rozgadana plugawie; stary człowiek w łachmanach stał w błocie z twarzą pełną rozpacz, wrzeszcząc przeraźliwie tytuł jakiegoś dziennika; a w oddali wśród ruchliwych końskich łbów, matowego połysku uprząży i tłoku lśniących karet widniał ciemny policjant w hełmie, wyciągający sztywne ramię u skrzyżowania ulic.

– Tak, widzę to wszystko – rzekł powoli Jackson – Mam to przed oczami; słyszę, jak dy-szy, biegnie, toczy się; potężne jest i żywe; zmiażdżyłoby cię, gdybyś się nie pilnował; a jednak... niech mnie powiesz, jeśli to dla mnie jest równie realne jak... jak tamto drugie... to znaczy historia Karaina.

Myślę, że Jackson stanowczo za długo był poza krajem.

## Laguna (The Lagoon)

Biały, wsparty oburącz o dach małego domku na rufie łodzi, odezwał się do sternika:

– Przenocujemy na polance Arsata. Późno już. Malaj mruknął coś w odpowiedzi i sterował z oczami utkwionymi w rzecę. Biały oparł brodę na skrzyżowanych ramionach i wpatrzył się w szlak wodny za łodzią. U krańca prostej drogi wśród lasów, przedzielonych jaskrawym blaskiem rzeki, bezchmurne, olśniewające słońce ważyło się nisko nad wodą gładką i połyskliwą jak metalowa wstęga. Ciemny, posepny las stał w ciszy i spokoju z obu stron szerokiej rzeki. U stóp wielkich, wyniosłych drzew bezpienne palmy wyrastały z nadbrzeżnego mułu w pękach ogromnych, ciężkich liści, zwisających nieruchomo nad brunatnymi kręgami wirów. W ciszy każde drzewo, każdy liść, każda gałązka, najcieńsze pędy lian i płatki najdrobniejszego kwiecica były jakby zakłute w spokój kamienny i ostateczny. Nic się nie poruszało na rzecę prócz ośmiu wiosł, które błyskały, wznosząc się i opadając miarowo z pojedynczym pluskiem. Sternik zagarniał wodę to na prawo, to na lewo, a pióro steru kreśliło nagłym i rytmicznym ruchem błyszczące półkole nad jego głową. Wzburzona woda pienila się naokoło z głuchym szumem. Łódź sunęła w górę rzeki wśród przelotnego zamętu, wznieconego przez nią samą i wstępowała, zda się, w granice kraju, skąd nawet wspomnienie ruchu uleciało na zawsze.

Biały odwrócił się od zachodzącego słońca i objął spojrzeniem pusty, rozległy obszar morza. Rzeka – wahająca się i niepewna w ciągu długiej wędrówki – przez ostatnie trzy mile płynie wprost ku morzu jakby znęcona swobodą szerokiego horyzontu, płynie prosto na wschód – na wschód, który mieści w sobie i światło, i ciemność. W tyle za łodzią rozległ się kilkakrotnie zew jakiegoś ptaka – zgrzytliwy i słaby – prześliznął się po gładkiej wodzie i zatracił w głuchej ciszy świata, nie sięgnąwszy przeciwległego brzegu.

Sternik wbił wiosło w toń i przytrzymał je mocno w wyprężonych ramionach, pochylając się naprzód. Woda głośnie zabulgotała; wydało się naraz, że długi, prosty obszar rzeki obraca się naokoło swej osi, lasy zatoczyły półkole, a ukośne promienie zachodu padły ognistym żarem na bok. Łodzi, rzucając wydłużone, potworne cienie wiosłarzy na przegowany blask rzeki. Biały odwrócił się, aby spojrzeć naprzód. Czółno płynęło teraz pod kątem prostym, do prądu i rzeźbiona głowa smoka, umieszczona na dziobie, skierowała się w stronę szczeliny dzielącej nadbrzeżne zarośla. Prześliznęła się przez nie, otarłszy się o zwisające gałęzie, i znikła z rzeki niby smukłe ziemno-wodne stworzenie opuszczające wodę dla leśnego legowiska.

Wąska zatoka wyglądała jak kręty, przepaścisty rów pełen mroku pod skrawkiem czystego, jaskrawego błękitu nieba. Olbrzymie drzewa, niewidzialne za strzępiastymi draperiami

lian, wznosiły się wysoko. Gdzieniedzie, tuż nad połyskliwą czernią wody, skrecony korzeń jakiegoś wielkiego drzewa sterczał spośród koronek drobnych paproci, czarny i ponury, skłębiony i nieruchomy jak zastygły wąż. Krótkie słowa wiosłarzy odbijały się głośno od zwartych ścian roślinnych. Mrok sączył się spomiędzy drzew, przesiewał się przez pogmatwany labirynt pnączy, wypełzał spod fantastycznie wielkich, nieruchomych liści, mrok tajemniczy i nieodparty, wonny i jadowity mrok nieprzebytych lasów.

Ludzie popychali łódź żerdziami w płytkiej wodzie. Przesmyk rozszerzył się w rozległą przestrzeń stojących wód. Lasy cofnęły się od brzegu, zostawiając gładki pas jasnozielonej, trzcinastej trawy, niby ramę okalającą błękit odbitego nieba. Welnista, różowa chmurka płynęła wysoko w górze, wlokąc delikatny, barwny swój wizerunek wśród płynących liści i srebrzystych kwiatów lotosu. W oddali zaczerniał domek osadzony na wysokich palach. Tuż przy nim dwie smukłe palmy nibong, zbiegłe, zda się, z okólnych lasów, kłoniły się lekko nad postrzępionym dachem z wyrazem tkliwego smutku i pieczołowitości w pochyleniu głów liściastych i wyniosłych.

Sternik rzekł, wskazując wiosłem:

– Arsat jest w domu. Widzę jego czółno, uwiązane między palami.

Wiosłarze przebiegali wzdłuż brzegów łodzi, spoglądając przez ramię ku celowi całodziennej podróży. Byliby woleli spędzić noc gdziekolwiek indziej, byle nie na tej dziwacznej lagunie, gdzie straszło po nocach. A przy tym nie lubili Arsata, jako obcego przybysza i osobnika mocno podejrzanego; bowiem człowiek, który naprawia walący się dom i w nim zamieszkuje, stwierdza jawnie, że nie boi się żyć wśród duchów nawiedzających miejsca opuszczone przez ludzi. Taki człowiek mocen jest spacyć bieg przeznaczenia spojrzeniem lub słowem, a przygodnym wędrowcom trudno jest przebłagać domowe duchy samotnika, które czyhają na podróżnych, chcąc wyrzucić na nich zemstę za złośliwość swego ludzkiego władcy. Białych te sprawy nic nie obchodzą, ponieważ są niewierzący i pozostają w zмовie z Ojcem Zła, który osłania ich od szwanku i wiedzie przez ukryte niebezpieczeństwa tej ziemi. Na przestrogi prawowiernych biali odpowiadają wyzywającym niedowiarstwem. Cóż na to poradzić?

Tak rozmyślali wiosłarze, kładąc się całym ciężarem na końce długich żerdzi. Wielka łódź sunęła prędko, gładko i bezszelestnie ku polance Arsata. Wreszcie rozległ się łoskot tyk rzucanych na dno łodzi, zabrzmiał głośny pomruk: „Chwała Allahowi!” – i łódź uderzyła lekko o koślawe pale przed domkiem.

Wiosłarze zadarli głowy i krzyknęli zgrzytliwym chórem: „Arsat! Hej, Arsat!” Nikt się nie pokazał. Wówczas biały jął wspinać się po niezdarnie skleconej drabinie prowadzącej na bambusową platformę. Djuragan łodzi rzekł kwaśno:

– Wieczereżę ugotujemy w sampanie i przenocujemy na wodzie.

– Podajcie mi derki i kosz – rozkazał krótko biały.

Ukląkł na skraju pomostu i wziął od nich swoje rzeczy. Potem łódź odpłynęła, a biały powstał i znalazł się naprzeciw Arsata, który wyszedł właśnie z niskich drzwi chaty.– Był to człowiek młody, potężnie zbudowany, o szerokiej piersi i muskularnych ramionach. Odziany był tylko w sarong; na głowie nic nie miał. Wielkie, łagodne oczy patrzyły żarliwie w białego, ale głos i obejście były spokojne, gdy spytał bez słowa przywitania:

– Czy masz lekarstwo, tuanie?

– Nie – odrzekł gość z niepokojem. – Nie. Dlaczego? Czy jest kto chory w domu?

– Wejdz i zobacz – odparł Arsat tym samym spokojnym tonem i odwróciwszy się nagle, znikł w niskim przejściu. Biały zostawił swoje pakunki i poszedł za nim.

W przyćmionym świetle wnętrza dojrzą? na bambusowym tapczanie kobietę wyciągniętą na wznak pod szerokim przykryciem z czerwonego perkalu. Leżała bez ruchu, jak martwa, tylko jej wielkie, szeroko rozwarte oczy, utkwione w cienkich krokwiach, połyskiwały w mroku, nieruchome i nie widzące. Miała dużą gorączkę i widać było, że jest nieprzytomna.

Policzki jej były z lekka zapadnięte, usta rozchylone, a młoda twarz przybrała wyraz nieruchomy i złowróżbny, zapatrzone i nieobecny wyraz ludzi nieprzytomnych, stojących w obliczu śmierci. Obaj mężczyźni patrzyli na nią w milczeniu.

– Dawno już chorujesz? – zapytał podróżny.

– Nie spałem przez pięć nocy – odrzekł spokojnie Malaj. – Z początku słyszała głosy nawołujące ją z wody i mocowała się ze mną, gdyż nie chciałem jej puścić. Ale od chwili, gdy wstało dzisiejsze słońce, nic już nie słyszy – nawet mnie nie słyszy. Nic już nie widzi. Nawet mnie nie widzi – nawet mnie!

Zamilkł na chwilę, po czym zapytał cicho:

– Tuanie, czy ona umrze?

– Lękam się tego – rzekł smutno biały. Znał Arsata przed laty w dalekim kraju, w czasach niespokojnych i groźnych, gdy żadną przyjaźnią gardzić nie należy. A odkąd malajski jego przyjaciel osiadł niespodzianie z obcą kobietą w szałasie lagunie, biały spędził tu wiele nocy, podróżując w górę i w dół rzeki. Lubił tego człowieka, który umiał być wiernym doradcą i walczyć nieustraszenie u boku białego przyjaciela. Lubił go – może nie do tego stopnia jak się lubi wiernego psa jednak lubił go dostatecznie, aby mu służyć pomocą o nic nie pytając, aby w nawale zajęć wspomnieć czasem niejasno samotnego mężczyznę i długowłosą kobietę, o śmiałej twarzy i zwycięskich oczach, dwoje ludzi żyjących razem w leśnej kryjówce, samotnych i trwoźnie unikanych.

Biały wyszedł z szałasu w chwili, gdy olbrzymia luna zachodu gasła, zdmuchnięta przez szybkie, skradające się cienie, które wypełzły jak czarna, nieuchwytna mgła pomiędzy szczytów drzew i snuły się po niebie, chłonąc szkarłatny żar obłoków i wspaniałą purpurę uchodzącego dnia. Po chwili wszystkie gwiazdy zabłysły nad głęboką czernią ziemi i wielka laguna zajaśniała nagle odbitymi światłkami, niby owalny szmat gwiazdowego nieba, ciśnięty w beznadziejną, przepastną noc dzikiej głuszy. Biały posilił się zapasami wyjętymi z koszyka, po czym zebrał kilka patyków leżących na platformie i rozpalił małe ognisko, lecz nie dla ciepła; chodziło mu o dym chroniący przed moskitami. Otulił się w koce i siedział wsparty o trzciniową ścianę domku, paląc w zamyśleniu papierosa.

Arsat wyszedł z chaty bez szelestu i przykucnął przy ogniu. Biały poruszył z lekka wyciągniętymi nogami.

– Oddycha – rzekł cicho Arsat, uprzedzając pytanie, którego się spodziewał. – Oddycha i goreje wielkim ogniem. Nie mówi nic. Nie słyszy nic. I goreje!

Urwał i zapytał po chwili spokojnym, obojętnym głosem:

– Tuanie... czy ona umrze?

Biały poruszył się nerwowo i mruknął niepewnym tonem:

– Jeśli tak chce jej przeznaczenie.

– Nie, tuanie – odpowiedział spokojnie Arsat. – Jeśli tak chce moje przeznaczenie. Słucham, patrzę, czekam. I wspominam... Tuanie, czy pamiętasz dawne dni? Czy pamiętasz mego brata?

– Tak – odrzekł biały. Malaj powstał nagle i wszedł do chaty. Podróżny, siedząc nieruchomo na platformie, posłyszał jego głos. Arsat mówił: – Usłysz mnie! Przemów! – Po tych słowach nastąpiła głucha cisza. – O Diamelen! – krzyknął nagle. Głębokie westchnienie doszło do uszu białego. Arsat ukazał się we drzwiach i przysiadł znów na dawnym miejscu.

Siedzieli milcząc przy ogniu. Cisza panowała w chacie i wszędzie wokoło; tylko z daleka dochodziły od czasu do czasu głosy wioślarzy, niosące się wyraźnie po spokojnej wodzie. Ognisko rozpalone na rufie sampanu jaśniało słabo w oddali, otoczone mglistą, czerwoną aureolą. Wreszcie zgasło. Głosy ucichły. Łąd i woda spały niewidzialne, nieporuszone i nie-me. Zdawało się, że nic nie pozostało ze świata prócz migotliwego blaski gwiazd, spływającego nieustannie i daremnie w głuchą czerń nocy.

Biały patrzył przed siebie w ciemność szeroko rozwartymi oczami. Groza i urok, natchnienie i tajemnica śmierci – bliskiej, nieuniknionej, niewidzialnej – stłumiły gorączkową ruchliwość jego rasy, budząc w nim najgłębsze, najmniej uchwytnie myśli. Czujna podejrzliwość upatrująca wszędzie coś złego, żrąca podejrzliwość, która czyha w na szych sercach, wypełzła w otaczającą go ciszę głęboką i głuchą, nasycając ją fałszem i ohydą, aż wreszcie cisza ta wydała mu się spokojną, nieprzeniknioną maską, kryjącą potworny jakiś gwałt. Przelotne a potężne wzburzenie targnęło całą istotą białego i ziemia spowita w gwiazdzisty spokój stała się dlań mroczną krainą niehumanicznych walk bojowiskiem duchów strasznych i czarownych wzniosłych i ohydnych, walczących zapamiętałe o władzę nad naszymi bezbronnymi sercami, nie spokojną, tajemniczą krainą niewyczerpanych pragnień i lęków.

Żaloszny szepł wysnuł się z mroku, szepł smutny i przerażający, jak gdyby wielkie, samotne lasy usiłowały wsączyć do uszu białego mądrość swej niezmiernej i wyniosłej obojętności. Niepewne i nieuchwytnie dźwięki krążyły wokół niego w powietrzu, kształtując się z wolna w słowa i wreszcie spłynęły szemrzącym strumieniem cichych, monottonnych zdań. Wzdrygnął się jak człowiek nagle ze snu zbudzony i zmienił nieznacznie pozę. Arsat, nieruchomy i niewyraźny jak cień, siedział z pochyloną głową nad migotaniem gwiazd i mówił cichym, sennym głosem:

– ...bo gdzież złożyć ciężar swej troski, jeśli nie w sercu przyjaciela? Mężowi przystoi mówić o wojnie i o miłości. Ty wiesz, tuanie, czym jest wojna, i patrzyłeś na mnie, gdy w chwili niebezpieczeństwa szukałem śmierci, jak inni szukają życia. Słowa napisane mogą zaginać. Można napisać kłamstwo, ale to, co oglądały nasze oczy, jest prawdą i pozostaje w pamięci.

– Pamiętam – rzekł spokojnie biały.

Arsat ciągnął dalej głosem posepnym i opanowanym:

– Dlatego będę ci mówił o miłości. Będę mówił w mroku. Będę mówił, póki noc i miłość me przeminą i póki oko dnia me padnie na moją żalosz i moją hańbę; na moją poczerniałą twarz; na moje zgorzało serce.

Krótkie, nikłe westchnienie powstrzymało na chwilę Jego słowa, które płynęły nie podkreślone żadnym gestem, żadnym poruszeniem.

– Gdy minął czas wojny i zamieszek i gdy opuściłeś mój kraj w pogoni za swymi pragnieniami, których my, wyspiarze zrozumieć nie możemy, mnie i memu bratu przypadło znowu w udziale nosić miecz za władcą, jak to czyniliśmy i dawni Wiesz, że pochodzimy z wielkiego, panującego rodu i że bardziej niż ktokolwiek byliśmy godni piastować znanie władzy na prawym ramieniu. A w czasach pomyślności Si Dendring zaszczycał nas swoją łaską, tak jak my w czasach smutku staliśmy przy nim wiernie i nieustraszenie. Nastal czas pokoju. Czas łowów na jelenie i walk kogucich; częściej gadaniny i głupich swarów między mężczyznami, których brzuchy są pełne, a broń rdzewieje. Lecz siewca śledził bez trwogi wzrost młodych pędów ryżu, a kupcy snuli się ciągle; wyruszałi chudzi i wracali utuczeni na wody naszej spokojnej rzeki. Przywozili kłamstwa i prawdę razem zmieszane, tak że żaden mąż nie wiedział, kiedy się radować, a kiedy smuć. Słyszeli także i o tobie, tuanie. Widziano cię tu i widziano cię ówdzie. A ja cieszyłem się, że o tobie słyszę, bo nasze burzliwe czasy żyły w mej pamięci, i wspominałem cię zawsze, aż nadszedł czas, oczy moje nic już w przeszłości widzieć nie mogły, bo ujrzały tę, która umiera tu – w chacie.

Urwał i wyszeptał przejmującym głosem:

– O Mara bahia! O doło!

Po chwili ciągnął znów nieco głośniejsz:

– Nie ma gorszego wroga i nie ma lepszego przyjaciela nad brata, tuanie, gdyż brat wszystko o bracie, a w doskonałej wiedzy i dobra, i zła siła. Kochałem swego brata. Poszedłem więc do niego i wyznałem mu, że patrzeć mogę tylko na jedno oblicze, że słuchać mogę jednego głosu. Poradził mi: „Otwórz przed nią serce, aby ujrziała, co się w nim dzieje – i cze-

kaj. Cierpliwość jest mądrością. Może się zdarzyć, że Inchi Midah umrze albo że nasz władca otrząśnie się z lęku przed niewiastą”. Czekałem więc!... Pamiętasz, tuanie, kobietę o zakwieconej twarzy – pamiętasz twogę naszego władcy przed jej przebiegłością i wybuchami gniewu. Nie chciała puścić od siebie swej służebnicy – i cóż na to mogłem poradzić? Lecz syciłem głód mego serca krótkimi spojrzzeniami i słowami rzucanymi ukradkiem. Za dnia wałęsałem się po ścieżce wiodącej do kąpieli, a gdy słońce zapadło za lasy, skradałem się wzdłuż jaśminowego żywopłotu otaczającego dziedziniec kobiet. Mówiliśmy do siebie, nie widząc się nawzajem, przez woń kwiatów, przez zasłonę liści, przez źdźbła wysokiej trawy stojącej bez ruchu przed naszymi ustami, tak wielka była nasza ostrożność, tak cichy szept naszej wielkiej tęsknoty. Czas mijał szybko... i wśród kobiet legły się plotki – a nasi wrogowie czuwali. – Brat mój spochmurniał, ja zaś zacząłem myśleć o zabójstwie i okrutnej śmierci. Ludzie z mego plemienia biorą to, czego pożądamy, tak jak i wy, biali. Bywa niekiedy, że wojownik musi zapomnieć o wierności i szacunku. Potęga i władza jest w ręku panujących, ale wszyscy ludzie mają prawo do miłości, do siły i do odwagi. Mój brat powiedział: „Zabierz ją spośród nich. Otośmy obaj jak jeden mąż”. A ja odrzekłem: „Niech się to prędko stanie, bo nie masz dla mnie ciepła w blasku słońca, które jej nie oświeca”. Nadeszła wreszcie nasza godzina, kiedy władca otoczony możliwymi wyruszył ku ujściu rzeki na połów ryb przy świetle pochodni. Zebrały się tam setki łodzi, a na białym piasku między wodą a lasem zbudowano szałas z listowia dla dworu radzy. Dymy ognisk snuły się jak niebieska mgła wieczorna, a wśród niej wiele głosów tryskało weselem, Gdy przygotowano łodzie, by ruszyć na wypłaszanie ryb, brat podszedł do mnie i rzekł: „Dzisiaj!” Opatrzyłem broń, a kiedy czas nadszedł, łódź nasza zajęła miejsce w kręgu czółen z pochodniami. Światła jaśniały nad wodą, lecz za kołem czółen panowała ciemność. Podniosły się krzyki, podniecenie upoiło ludzi do szaleństwa i wtedy wysunęliśmy się cichaczem. Woda pochłonęła naszą pochodnię i ruszyliśmy z powrotem do brzegu, kędy panował mrok rozświetlony gdzieś tam dopalających się ognisk. Od strony szałasów dochodziły nas rozmowy niewolnic. Znaleźliśmy na koniec miejsce ustronne i ciche. Czekaliśmy. Zjawiła się wreszcie. Ujrzelśmy, jak biegła chyżo i lekko wzdłuż brzegu, śladów za sobą nie zostawiając, niby liść gnany wiatrem do morza. Mój brat rzekł posępnie: „Idź i weź ją. Zanieś ją do naszego czółna”. Uniosłem ją w ramionach. Dyszała ciężko. Serce jej biło o moją pierś. Rzekłem: „Zabieram cię od tych ludzi. Przybiegłaś na krzyk mego serca i ramiona moje unoszą cię do łodzi wbrew woli władców”. „Tak być musi – powiedział mój brat. – Jesteśmy ludźmi, którzy biorą to, czego pożądamy, i umiemy bronić swej zdobyczy przeciw wielu wrogom. Powinniśmy byli porwać ją w jasny dzień”. „Ruszajmy” – rzekłem, gdyż odkąd znalazła się w mej łodzi, zacząłem myśleć o mnogich wojownikach władcy. „Tak, ruszajmy – odrzekł mój brat. Jesteśmy wygnańcami i od tej chwili łódź jest nam ojczyzną, a morze schronieniem”. Zawahał się z nogą opartą o brzeg, a ja nagliłem do pośpiechu, gdyż pamiętałem uderzenia jej serca o moją pierś i uprzytomniłem sobie, że dwóch ludzi nie może stawić czoła setce. Ruszyliśmy, płynąc z prądem wzdłuż brzegu. Kiedy mijaliśmy zatokę, gdzie odbywał się połów, wielka wrzawa przycichła już, lecz szmer głosów rozbrzmiewał jak brzęczenie owadów o południu. Łódki, zbite w gromadę, płynęły w czerwonym świetle pochodni pod czarnym dachem z dymu, a mężowie rozprawiali o rybołówstwie. Mężowie, którzy chełpili się i wychwalali jeden drugiego, i szydzili z siebie nawzajem – mężowie, którzy jeszcze rano byli naszymi przyjaciółmi, ale tej nocy stali się naszymi wrogami. Minęliśmy ich szybko. Nie mieliśmy już przyjaciół w kraju, gdzieśmy się urodzili. Diamelen siedziała w środku czółna z twarzą zakrytą, milcząca jak i teraz, nie widząca nic jak i teraz, a ja rzucałem wszystko bez żalu, ponieważ słyszałem blisko siebie jej oddech – tak jak go słyszę w tej chwili.

Zamilkł i nasłuchiwał zwrócony ku drzwiom. Po chwili potrząsnął głową i ciągnął dalej:

– Brat mój pragnął krzyknąć wyzwanie, krzyknąć raz jeden, aby oznajmić, że jesteście wolnymi grabieżcami, którzy zawierzyli swoim ramionom i szerokiemu morzu. I znów za-



kląłem go, aby milczał w imię naszej miłości. Czyż nie słyszałem jej oddechu tuż przy sobie? Wiedziałem, że pogoń rozpocznie się i tak zbyt prędko. Mój brat kochał mnie. Zanurzył wiosło bez plusku. Powiedział tylko: „Teraz jest w tobie pół męża; druga połowa jest w tej kobiecie. Mogę poczekać. Gdy staniesz się znów całym mężem, wówczas powrócisz tu ze mną, aby krzyknąć wyzwanie. Jesteśmy synami tej samej matki”. Nic nie odpowiedziałem. Wszystkie siły i całą energię skupiłem w rękach, które trzymały wiosło, gdyż spieszo mi było znaleźć się z nią w bezpiecznym miejscu, poza obrębem męskiego gniewu i zemsty kobiecej. Miłość moja była niezmierna i wierzyłem, że jeśli tylko zdołam ująć przed wściekłością Inchi Midah i mieczem naszego władcy, miłość zawiedzie nas do krainy, gdzie śmierć jest nieznana. Wiosłowaliśmy spiesznie, oddychając przez zaciśnięte zęby. Pióra wiosła zanurzały się głęboko w gładką wodę. Wypłynęliśmy z koryta rzeki; pomykaliśmy przejrzystymi kanałami wśród mielizn. Minęliśmy czarne Wybrzeże i piaszczyste ławy, kędy morze szeptem mówi do łądu, a nasza łódź tak szybko niosła się po wodzie, że biel piasków migała tylko, uciekając w tył. Milczeliśmy. Odezwałem się do niej raz tylko: „Śpij, Diamelen, gdyż wkrótce potrzebne ci będą wszystkie siły”. Usłyszałem słodki jej głos, ale głowy nie odwróciłem ani razu. Słońce wzeszło, a my wiosłowaliśmy bez ustanku. Woda spływała mi z twarzy jak deszcz z chmur. Gnaliśmy przez blask i żar. Nie obejrzałem się ani razu, ale wiedziałem, że brat mój patrzy spokojnie naprzód, gdyż łódź biegła prostu jak grot leśnego osadnika, wypadający z sumpitanu. Nie było wiosłarza, nie było sternika nad mego brata. Ileż razy wygrywaliśmy razem wyścigi w tej samej łodzi. Ale nigdy nie wyteżyliśmy sił naszych tak jak wówczas, wówczas, gdy wiosłowaliśmy razem po raz ostatni. Nie było w naszym kraju męża równego memu bratu siłą lub odwagą. Nie chciałem marnować czasu na odwrócenie głowy, choć słyszałem, że oddech brata staje się z każdą chwilą głośniejszy. Ale wciąż nic nie mówił. Słońce stało wysoko. Upał ogarnął mi plecy płomieniem. Myślałem, że pękną mi żebra, i nie mogłem już zaczerpnąć powietrza. Poczulem, że muszę krzyknąć resztką tchu: „Odpocznijmy!” „Dobrze” – odrzekł mój brat. Był silny. Był mężny. Nie wiedział, co to strach i zmęczenie. Mój brat!

Potężny i łagodny szelest, rozległy a słaby – szelest rozedrganych liści i chwiejących się gałęzi – wydarł się ze skłębionego gąszczu lasów i przebiegł po gwiazdzistej toni laguny, aż woda między palami plusnęła nagle, liżąc śliską powierzchnię drzewa. Powiew ciepłego powietrza musnął twarze mężczyzn i popłynął dalej z ponurym szumem, powiew głośny i krótki, niby niespokojne westchnienie ziemi w śnie pogrążonej.

Arsat mówił dalej spokojnym, cichym głosem:

– Wpędziliśmy czółno na biały brzeg zatoczki, obok długiego języka łądu, który zdawał się zagradzać drogę; był to wydłużony, lesisty przylądek, występujący daleko w morze. Mój brat znał to miejsce. Za przylądkiem leży ujście rzeki, a przez dżunglę biegnie wąska ścieżka. Rozpaliliśmy ognisko i ugotowaliśmy trochę ryżu. Potem legliśmy spać na miękkim piasku w cieniu naszego czółna, a ona czuwała. Ledwie zdążyłem zaniknąć oczy, gdy rozległ się jej krzyk ostrzegawczy. Zerwaliśmy się. Słońce zdążyło już przebiec pół nieba, a u wjazdu do zatoczki, ujrzelśmy prao pełne wiosłarzy. Poznaliśmy je od razu; było to prao naszego radzy. Załoga opatrywała brzeg: ujrzeli nas. Uderzyli w gong i skierowali prao do zatoczki. Poczulem, że serce zamiera mi w piersi. Diamelen siadła na piasku i ukryła twarz w dłoniach. Niepodobna było uciec morzem. Mój brat zaśmiał się. Miał strzelbę, którą mu dałeś, tuanie, zanim od nas odszedłeś, ale została nam tylko garść prochu. Rzekł prędko: „Uciekaj z nią tą ścieżką. Ja ich zatrzymam, gdyż broni palnej nie mają, a lądowanie w obliczu wroga zbrojnego w strzelbę jest pewną śmiercią dla wielu. Uciekaj z nią. Po drugiej stronie lasu jest domek rybaka i łódź. Wystrzelę wszystkie ładunki i pobiegnę za wami. Umieć biec bardzo szybko i zanim zdążą się zbliżyć, będziemy już daleko. Powstrzymam ich jak najdłużej, bo przecież ona jest tylko kobietą, która nie umie ani biec, ani walczyć, a jednak trzyma w słabych dłoniach twoje serce.” Przymocował się do czółna. Statek się zbliżał. Biegliśmy oboje, a biegnąc

ścieżką, posłyszeliśmy strzały. To brat mój strzelił raz i drugi – i gong przestał dźwięczeć. Za nami uczyniła się cisza. Przyłodek był wąski; zanim brat mój zdążył strzelić po raz trzeci, ujrzałem znów piaszczyste ławice wybrzeża i wodę; ujście szerokiej rzeki. Przebiegliśmy polankę zarosła trawą i dopadliśmy wody. Ujrzałem niską chatkę nad czarnym mułem i wyciągnięte na brzeg czółenka. Za nami rozległ się jeszcze jeden strzał. Pomyślałem: „To już ostatni nabój.” Rzuciliśmy się do czółna. Jakiś człowiek wypadł z chaty, ale skoczyłem na niego i obaj potoczyliśmy się w błoto. Potem podniosłem się, a on leżał bez ruchu u moich nóg. Nie wiem, czy go zabiłem, czy nie. Zepchnęliśmy czółno na wodę. Wtem wrzaski rozległy się za nami i ujrzałem brata pędzącego przez polankę. Wiele ludzi sadziło za nim. Porwałem ją w ramiona i wrzuciłem do łodzi, a potem wskoczyłem sam. Obejrząwszy się ujrzałem, że brat mój upadł. Upadł i podniósł się znowu, ale już go dopędzili. Krzyknął: „Jestem!” Dopędzali go już. Spojrzałem. Tylu ludzi! Potem spojrzałem na nią. Tuanie – pchnąłem. czółno. Pchnąłem je na głęboką wodę. Klęczała na przedzie patrząc we mnie, a ja rzekłem: „Bierz się do wiosła” – i zanurzyłem w wodę swoje wiosło. Tuanie, usłyszałem jego krzyk. Usłyszałem, jak krzyknął dwakroć moje imię. I usłyszałem głosy wrzeszczące: „Bij! Zabij!” Nie odwróciłem się wcale. Usłyszałem, jak jeszcze raz krzyknął moje imię wielkim głosem, jak gdyby życie uchodziło zeń z tym krzykiem – i głowy nie odwróciłem. Moje własne imię!... Mój brat! Krzyknął trzy razy, ale ja nie bałem się życia. Czy nie była w czółnie wraz ze mną? Czyż nie mogliśmy dostać się razem do krainy, gdzie się zapomina o śmierci, gdzie śmierć jest nie znana?

Biały poruszył się i wyprostował, Arsat podniósł się; niewyraźna, niema jego sylwetka zaczęła nad gasnącym żarem ogniska. Niską mgła wpełzła na lagunę, zacierając powoli migotliwe wizerunki gwiazd. Wkrótce tuman białych oparów spowił ziemię; kotłował się w mroku, zimny i szary, zataczał bezszelestnie wiry naokoło pni i snuł się w krąg pomostu, a chata zdawała się pływać po niespokojnej i nieuchwytej złudzie morza. Tylko hen w oddali szczyty drzew znaczyły się na migotliwym niebie niby jakieś wybrzeże ponure i beznadziejne – kraina złudna, czarna i bezlitosna.

Głos Arsata zabrzmiał donośnie w głębokiej ciszy i

– Miałem ją tutaj! Miałem ją! Dla zdobycia jej byłbym stanął do walki z całym światem. Moja była – a teraz...

Słowa jego zagasty, pochłonięte przez odległą pustkę. Umilkł i zdawał się nasłuchiwać, jak zamierają gdzieś daleko – bezradne i nieodwołalne. Potem rzekł spokojnie:

– Tuanie, kochałem mego brata.

Chłodny powiew przejął Arsata dreszczem. Wysoko nad jego głową, wysoko nad niemym morzem mgły zwisające listowie palm odezwało się żałobnym, konającym łopotem. Biały wyprostował nogi. Nie podnosząc głowy, wyszeptał smutno z brodą wspartą o pierś:

– Każdy kocha swego brata.

Arsat wybuchnął nagle gwałtownym, namiętym szeptem:

– Czyż mogłem dbać o to, kto ginie? Pragnąłem spokoju dla swego serca.

Wydawało mu się, że coś zaszeleściło w chacie; nasłuchiwał przez chwilę, a potem wszedł do środka. Biały podniósł się. Nadpływał powiew w kapryśnych podmuchach. Gwiazdy zbladły, jakby cofnąwszy się w mroźne głębie nieskończonej dali. Chłodny powiew ustał; zupełny spokój i głucha cisza panowały przez chwilę. Nagle zza czarnej, falistej linii lasów słup złotego światła strzelił w niebo i rozsypał się nad półkolem wschodniego horyzontu. Słońce wzeszło. Mgła wzniosła się i podarła na ruchliwe strzępy, rozpraszając się w zwiewnych girlandach, a odsłonięta laguna ukazała się – gładka i czarna – w głębokim cieniu pod zwartą ścianą drzew. Biały orzeł wzleciał nad wodą ukośnym, ciężkim lotem, wznosił się w jasność słoneczną i promieniał przez chwilę olśniewającym blaskiem, wreszcie, wzbijając się coraz wyżej, stał się czarną, nieruchomą plamą, aż się rozplątał w błękicie, jakby ziemię na zawsze porzucił. Biały stał przed drzwiami, patrząc w niebo, i usłyszał wewnątrz chaty pomruk bez-

ładnych, szalonych słów, zakończonych głośnym jękiem. Nagle Arsat wyszedł, potykając się, z wyciągniętymi ramionami; zatrząsł się i stał nieruchomo jak osłupiały. Wreszcie wyrzekł:

– Ona już nie goreje.

Naprzeciw niego ukazał się rąbek słońca nad Wierzchołkami drzew i wznosił się spokojnie coraz wyżej. Powiew ochłodził. Wspaniały blask spłynął na lagunę i roziskrzył się na pomarszczonej wodzie. Las wyszedł z rannego półcienia i zarysował się Wyraźnie, jak gdyby przebiegł bliżej i zatrzymał się wśród wielkiego poruszenia rozdygotanych liści, chwiejących się gałęzi, rozkołysanych konarów. W bezlitosnym blasku słońca szept nieświadomego życia potężniał wciąż i przemawiał niezrozumiałymi głosami, które snuły się wokół niemego mroku tej ludzkiej niedoli. Oczy Arsata jęły z wolna błądzić, wreszcie utkwily we wschodzącym słońcu.

– Nic nie widzę – rzekł do siebie półgłosem.

– Nie ma też nic do zobaczenia – rzekł biały i podszedłszy do brzegu platformy skinął na łódź. Słaby okrzyk przyplłynął z laguny i sampan skierował się ku chacie przyjaciela duchów.

– Jeśli chcesz ze mną wyruszyć, poczekam na ciebie przez cały ranek – rzekł biały, patrząc W dal na wodę.

– Nie, tuanie – odpowiedział łagodnie Arsat. – Nie będę jadł ani spał w tym domu, wpierv muszę zobaczyć swoją drogę. Teraz nie widzę nic, nic! Nie ma na świecie jasności ani spokoju, ale jest śmierć – śmierć dla wielu. Byliśmy synami jednej matki, a ja odbiegłem go otoczonego przez wrogów. Ale teraz powrócę.

Odetchnął głęboko i mówił dalej sennym głosem:

– Za chwilę będę widział dość jasno, aby móc uderzyć – uderzyć... Ale ona nie żyje i... teraz... tylko ciemność...

Rozpostarł szeroko ramiona, potem opuścił je bezwładnie i stał bez ruchu z twarzą zmarzniętą i kamiennym wzrokiem utkwionym w słońcu. Biały zeszedł do łodzi. Wioślarze przebiegali żywo wzdłuż burt spoglądając przez ramię ku początkowi mozolnej podróży. Wysoko na rufie siedział markotny sternik z głową omotaną w białe gałgany i puścił wiosło, które się wlokło po wodzie. Biały, wsparty oburącz o strzechę z traw, służącą za dach małej kabiny, spoglądał w tył na świetlisty, pomarszczony szlak łodzi. Podniósł oczy, nim sampan zdążył opuścić lagunę. Arsat stał wciąż nieruchomo. Stał samotny w przenikliwym blasku słońca i skroś wielką jasność bezchmurnego dnia patrzył w mroczną krainę złudzeń.

